

Aleksander Świętochowski

PISMA 

III.

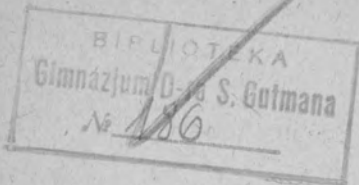
x
Up
Aleksander Świętochowski

❁ Pisma ❁

III
BAJKI.

❁ Wydanie drugie ❁

XX
Warszawa
1908



Druk J. Sikorskiego. Warszawa, Warecka 14.

X.
R. 80
16/1.462

I.
KRAJOBRAZY.

Ziemia przywdziała swój płaszcz śnieżny, na którym, niby ogonki gronostajowe, czerniły się drzewa i krzewy, postacie ludzkie i zwierzęce, a brzegiem biegł ciemny pas lasów. Szara i rzadka mgła rozmazała się po sklepieniu niebios; u ich stropu zawieszono słońce płonęło w mętach obłocznych, jak lampa w zakurzonem szkle mlecznem. Świeciło ono takim małym, księżycowym krążkiem, jak gdyby jego oko razila oślepiająca białość śniegu. Powietrze napełnione było jasnością, ale chłodną, przyćmioną i bardziej bijącą z dołu, niż padającą z góry. Nie przebiegały po niem żadne mocne dźwięki, przelewały się tylko głuche szумы.

(Były to szумы pletwileniwe ruchy tworów, napełniających przestrzeń i pływających w niej niby we wnętrzu morza, niewidzialnych, bo przezroczystych, lodowatych i śnieżnych. Nie cieniowała ich żadna inna barwa, żaden inny żywioł, prócz zamrożonej wody,

nie wchodził w skład ich ciał szklanno-przejrzystych. Miały one kształt rozmaitego, choć zawsze dziwnego kroju — ryb, ptaków i zwierząt. Jedne podobne były do wielorybów, które co chwila rozwierzały przepaścistą paszczę, wchłaniały rojącą się falę, a wystrzyknąwszy powietrze górnym otworem głowy i połknąwszy wąskiem gardłem żyjątko drobniejsze, wypływały z odrazą istoty grubsze. Przy boku tych olbrzymów uwijał się rodzaj długich, zwinnych i nie-nasyconych rekinów, które pożerały wszystko żywe, a nawet siebie wzajemnie; mniejsze tonęły w większych, te zaś w największych, nadziewając się tak sobą, w miarę siły i obszerności żołądka. Krążył również gatunek, któremu wierzchnia szczeka, wydłużona i użębiona jak piła, służyła za broń do przebijania ofiar, oraz zwinne, wytwornej postaci ryby, pływające grzbietami ku spodowi. Na dole pełzały ogromne raki i żółwie, kołysały się potworne wielonogi i głowonogi, jednookie, kolcami zjeżone, długimi wąsami nastrzępione i zwojami galaretowatych sznurków obrosłe, w pancerzach gładkich i chropowatych, w łusce lśniące i matowej. Ślimaki poruszały wolno mackami, zwierzkorzewy rozkładały swe sztywne ramiona. Od czasu do czasu przemknął wśród nich ptak z szerokim dziobem i zrosłymi palcami lub przesunęło się bezkształtne cielsko zwierzęcia, przypominającego fokę, psa lub niedźwiedzia morskiego.

Wszystkie te twory lodowate, przejrzyste, zlewały

się z powietrzem i pozostawały niewidzialne dla oczu ludzkich, dostrzegających tylko szarą kopułę nieba, opartą skłonami na śnieżnym kręgu ziemi).

Niby para nurków, szukających pereł i koralu, niby dwoje utopionych w morzu zimy, stąpali po jego białem dnie otuleni w wełniane szaty i futra. Z całego ich ciała widniały tylko blade twarze, w których głęboko ukrytym żarem płonęły zapalające się wzajemnie od siebie niebieskie oczy. W owym świecie chłodu i białości był to jedyny ogień i jedyna barwa.

Szli długo w milczeniu, goniąc wzrokiem płatki śniegu, który pruszyć zaczął, nareszcie ona odezwała się:

— Za wiele pan milczysz.

— Bo należę również — odrzekł on — do krajobrazu zimowego. Prawdziwi ludzie północy wiele milczą.

— Czyż pan jesteś jej synem?

— Przybranym.

— Dlatego właśnie powinienś pan mówić. Do ustroja mojego późno i słabo dolatują echa gwaru wielkich rynków życia. Co tam obecnie ludzie najchętniej kupują i sprzedają?

— Wszystko mają do zbycia, prócz wygody osobistej. Świat ogłosił ogólną wyprzedaż starych ideałów i zamierza sprawić sobie nowe. Charaktery i rozumy posiadają swój cennik i wystawiane są na targach jak ryby i warzywa. Skutkiem obfitej podaży produkty te staniały. Nieraz kuropatwa drożej kosz-

tuje, niż cnota. A przytem, jak zwykle, na jarmarkach ludziska oszukują się, biją i okradają. Czy pani chciałabyś coś kupić?

— Troszkę swobody.

— Towar to najkosztowniejszy, a nadto wyrób jego ma być możliwie ograniczony.

— Ja niewiele jej potrzebuję, zaledwie tyle, ażebym nie musiała ciągle kłamać, ażebym mogła przyznawać się do moich myśli i uczuć, wreszcie czynić to, co nikomu szczęścia nie uszczupla, a mnie je pomnaża.

— To niewiele? Mądrość przez usta ludzkie powiedziała kiedyś, że człowiek nie powinien być dla człowieka środkiem, lecz celem; dziś ona w służbie i najmie wyprzysięgła się tej mrzonki. Dziś człowiek dla człowieka jest środkiem. Kto ma funt złota, połyka mających po łucie; kto ma pud, połyka funtowych, kto ma cetnar, połyka pudowych — i tak dalej. Bogacza można rozmiąć na biedniejszych, jak dukat na złoto i grosze. Ale podczas gdy dukat, wchłonawszy zawarte w nim drobne pieniążki, czuje zupełne nasycenie, człowiek, który go posiada, doznaje głodu, dopóki gdzieś tam w najnędniejszej kieszeni spoczywa możliwy do zdobycia szeląg. Do tej kieszeni zaś sięgnie on w potrzebie drapieżną ręką przez cudzy mózg, serce, płuca, zamorduje, jeśli inaczej obrabować nie zdoła.

— Tak rozgrzewasz pan sobie zimną myśl przesadą, jak skostniałe ręce tarcieciem.

— Nie, ale za to pani patrzysz na świat przez szybę obmarzłą wzorzystymi złudzeniami. Dziecko zabija baka, ażeby z jego tułowia wyssać kroplę miodu, myśliwy zabija strusia, ażeby mu ze skrzydeł wyrwać kilka piór, lub słonia, ażeby mu ze szczęki wyłamać kły — słowem, człowiek tępi istoty żywe dla drobnej korzyści, porzucając i marnując masy ciał, które po za nią zostają. I niewątpliwie, gdyby znalazł w naturze tak olbrzymie, że głowami trącałyby o gwiazdy, a on w nich upodobał sobie jeden błyszczący włos, mordowałby je dla tego jednego włoska. Tak samo postępuje ze swym rodzajem. Ten, któremu polechtał oczy wdzięczny uśmiech ładnej kobiety, zbałamuci ją, znieprawi, zbruka, unieszczęśliwi, zmarnuje całą dla chwilowo pożądaną przyjemności pocałowania w korallowe usteczka. Tamten, który lubi głębokie pokłony gromady ludzkiej przed swem dostojęństwem, ogłupi ją, zuboży, obezwładni, ażeby korniej wykonywała te ruchy. Inny nakryje wszystkie opanowane studnie, a połączywszy je podziemną żyłą, przeprowadzi od niej do swych ust słomkę, przez którą pić będzie sam wodę zdrojów, z uśmiechem spoglądając na spragniony tłum, co jego zamknięte krynice otacza i spieczonemi wargami o litość go błaga. Samolubstwo jest moralnym szkieletem natury człowieczej, z którego obecnie coraz częściej opada odgniłe ciało. Wszędzie silniejszy wydziera słabszemu więcej, niż sam zużytkować może.

Nie potrzebujesz pani wysłać oczu daleko, spojrzysz koło siebie, rozważ jakikolwiek stosunek społeczny...

(W tej chwili jakiś szum nagły ogarnął rozmawiającą parę — to niewidzialne, lodowate twory zaczęły koło niej krążyć skwapliwie. Przyplynał wieloryb, kilka rekinów, pił i ryb drobniejszych — wszystkie w ożywieniu i gniewie, niemal dotykając płetwami i ogonami ust mężczyzny).

Obejrzał się niespokojnie, a choć nie spostrzegł niczego, zamilkł.

— Mowa pańska — rzekła ona — jest jak ścieżka, niknąca za stopami i prowadząca do przepaści, w którą trzeba się rzucić, ażeby znaleźć ukojenie.

— To też przerwałem ją.

— Dobrze pan zrobiłeś — za zimno na takie słowa, które wpadają w duszę jak kulki gradu.

— Ciepło krwi ludzi północnych ogrzewa zaledwie ich samych, dla innych już nie wystarcza. Czy pani sądzisz, że twój umysł lub twoje serce posiada temperaturę wyższą?

— Zdaje mi się.

— Przez sferę zimy przelatują rzeczywiście czasem rozpalone meteory, ale szybko gasną i ziębną. Pani widocznie nie rozmyślałaś nad ludźmi w futrach i wełnie. To jest rasa osobna, całkiem odmienna od istot, odziewających się promieniami słońca i ciepłym wiatrem.

— Rzeczywiście? Muie się zdaje, że ludzie północni, przeniesieni na południe...

— Ziając będą jak białe niedźwiedzie w sadzawkach ogrodów zoologicznych, albo marnieć jak sosny. Eskimo, zaszyty przez całe życie w skórę zwierząt morskich, niechętnie się rozstaje z nią i ze swoją chatą śnieżną, ogrzewaną kagankiem tłuszczu wielorybiego. A jego dusza podobna do ciała, również zaszyta w kożuch, również przyzwyczajona do lepianki ze śniegu, również poprzestaje na ciepłe tlejącego tranu i znosi długotrwałe noce. Nasze kożuchy są lżejsze a wymagania większe, ale pokrewieństwo z eskimem niezbyt oddalone. Jak ciało osłonięte skórą i sierścią zwierzęcą, tak dusza przesądami — ukazuje zaledwie swoją twarz. Grek był nagi i szczery, my ubrani i obłudni. W czym on widział piękno, w tem my widzimy bezwstyd; co on rzeźbił w marmurze, to my chowamy w szczelnie zamkniętych futerałach ubrania; co on głośno opiewał, to my szepczemy sobie poufnie do uszu. On był człowiekiem całym, my ułamkami ludzki, on był genialnym, my jesteśmy tylko przyzwoici. Pani, lepsza od tysiąca innych, niewątpliwie osłoniła byś sobie rumieńcem i tę cząstkę widzialnego ciała — twarz swoją, gdybym wspomniał...

— Pozostań pan w zwyczajach północy...

(Szum się ponowił, a niedostrzegalne istoty rozpoczęły około mężczyzny swój wir gwałtowny).

— Przepraszam.

— Ale nie mierz pan — rzekła ona — my możemy sobie dużo powiedzieć, nie zdejmując futer i wełny.

— Wątpię. Alboż my po tej drodze idziemy sami? Bynajmniej. Za nami suną się niewidzialne a ciągle obecne szeregi duchów opiekuńczych z księgami ustaw, z łańcuchami zwyczajów i pętami przesądów. Wszystko to nas strzeże, krępuje, ścisza, w chwilach szczerości na usta palce kładzie i ucisza. Przed tym dozorczym orszakiem nigdzie dwoje ludzi schronić się nie może, czasem tylko ucieknie przed nim jednostka, gdy zostanie sama ze swoją myślą. Człowiek północny jest podobny albo do głuchoniemego, rozmawiającego migami, albo do krętogłowa: musi ustawicznie oglądać się, czy go ktoś nie podsłuchuje i za śmiałość nie ukarze. Ludzie zaś najrozumniejsi, najuczciwsi, najpiękniejsi są wtedy, kiedy porozumiewają się z sobą, jako ludzie, a nie jako politycy, obywatele, mężowie i żony, słowem, istoty osadzone w pewnych miejscach i w pewnych stosunkach. Wówczas zawsze myślą albo o tem, jakby się wyzyskać, albo jakby się przeciw wyzyskowi ubezpieczyć.

— O czemże pan myślisz, rozmawiając ze mną?

— O tych aniołach stróżach, które czuwają nad naszym wzajemnem bezpieczeństwem. Dzięki im mówisz pani do mnie, jak spłoszona lania do szeleszczącego krzaka, za którym domyśla się tygrysa. Nie idziesz ze mną szerokim gościńcem szczerości, ale wąską ścieżką obłudy, zwiniętą po brzegu krawędzi, wzniesionej nad przepaścią, w którą każdy sęp może nas strącić uderzeniem skrzydeł. Gdy na jedną szalę

kładziesz swoje słowa, na drugiej siadają widma, które ją przeważają. Spostrzegłszy je, lękasz się o mnie i o siebie. Rozmawiamy z sobą jak dwie trwogi, a nie jak dwie śmiałości. Tak, tak! Ludzie północy mają daleko mniej praw, niż obowiązków.

— Z taką tęsknotą oczekiwałam pana, a z takim smutkiem słucham...

— Z tęsknotą? Tyle nie obiecywałem sobie, mogłem tylko pragnąć.

— Gdybym nie wierzyła, że pan tego spodziewałeś się, byłabym w wyznaniu mojem wstrzemięźliwszą.

— Nawet w tej chwili przypuszczam, że pani chcesz słodyczami i cackami ubrać dla mnie wigilijną choinkę, którą po skończonej zabawie się wyrzuca.

— Jeszcze wcześniej przestałam być zalotną, niż stroić choinki, domysł więc pański jest tak spóźniony, że aż niedotkliwy. Rozśmieszyłby mnie, gdyby mnie cośkolwiek w tej sprawie rozśmieszyć mogło.

— Dziękuję pani za tę naganę, z której wystrzela promień nadziei, jedyny, jaki ciemności mojego życia przenika. Migał on przede mną wielokrotnie i gasł natychmiast, skoro tylko chciałem na nim zawiesić szczęściem drgające ręce.

— Uważasz pan, jaki chłodny wiatr się zerwał. Wracajmy...

(Istotnie chwiał się szum niespokojnego ruchu niewidzialnych tworów, które zbiegły się i uwijały gromadą).

— Wracajmy — powtórzył mężczyzna posepnie. — Czy według pani zaszedliśmy już zbyt daleko?

— Ach, gdybyś pan znał głębokość mojego cierpienia! Słów w piersi utrzymać nie mogę, a chwytając każde, skoro mi z ust wybiegną.

— Czemu pani odmawiasz im swobody? Czemu daremnie więzisz uczucia niewinne i do niewoli nie stworzone? Gwałt zadany swojej duszy nie jest okrucieństwem mniejszem, niż cudzej. Zrzućmy oboje te lodowate maski, które nam na twarzach ciągle topnieją i krzepną, powiedzmy otwarcie, że...

(Mocny wicher zatamował mu wyrazy, a niewidzialne postacie w szalonych rzutach przewinęły się tłumnie między nimi).

— Na litość — zawołała ona błagalnie — nie mówmy o tem. Zimno mi...

— Widocznie futro pani jest jeszcze za lekkie.

— Już niedaleko do domu. Jak nas pan odwiedzisz w lecie, pokażę panu róże mojego szczepienia.

(Szum ustał, powietrze uspokoiło się, a pływające w niem twory gdzieś znikły).

— Niechże je pani zasadzi w piwnicy, ażeby, jak my, nie pokazywały słońcu rozkwitłych myśli i uczuć.

2.

Południowy.

Słońce toczyło się ku zachodowi ognistą kulą po wierzchołkach gór, które wydłużonym półkregiem usiadły nad zatoką morską, zapatrzone w jej modre zwierciadło. Błękit nieba nieco spłowiał, w powietrzu rozlały się strumienie orzeźwiającego chłodu, w wąwozy, rozłamy i zgięcia wsuwały się pierwsze cienie zmierzchu, ale za to każdy niemal żąb wielkiego grzebienia skał płonął innem światłem, każdy szczyt gorzał odmienną grą blasków. Morze, dostrzegłszy te światła, chwytając je i jak brylantami ozdabiało lekko falującą pierś swoją. Kwiaty posyłały słońcu swe wonie, któremi ono upojone, coraz niżej opuszczało senną głowę w mięki, luną pozłożony obłok.

(Z nieba ku ziemi na lekkich skrzydłach sfrunęły i krążyć nad nią zaczęły lotne wietrzyki. Ciała ich przejrzyste, a kształty mieniące się najrozmaitszemi postaciami ptaków i motylów. Rojno i wesoło, ruchem żwawym a łagodnym przebiegały one z miejsca na

miejsce. Tu musnęły wodę, tam zdmuchnęły kurz z listka lub trąciły gałązkę, tam znowu przeniosły obłoczek woni lub kroplę słodyczy z kwiatka na usta rozmarzonej pod palmą kobiety, tam ochłodziły skrzydłami czoło robotnika, tam wycalowały twarz dziecka lub poigrały z siwymi włosami starca. Dotykały wszystkiego swawolne a miłe, natrętne a rozkoszne, niespokojne a błogie. Od czasu do czasu śród tego roju przesunął się lotem wolnym i poważnym skrzydłacz wspianiały, niby orzeł królewski, który zataczał koła nad głowami ludzkiemi, słuchał i śledził bystrym wzrokiem, wreszcie porywał z ust słowa i natchnienia, niby gwiazdy, wzbijał się w górę, zawieszał je na sklepieniu niebios lub przytwierdzał do tarczy słońca).

Nad stromym brzegiem zatoki rozstawił się gaj pomarańczowy, w którym gdzieniegdzie wybiegały oliwki, tuje i palmy. Tu wietrzyki bawiły się najswawolniej, zaczepiając figlarnie wszystko: liście krzewów, płatki kwiatów, źdźbła trawy, ale najgęstszym rojem okrążyły postać kobiety, leżącej pod dźzewem palmowem, która na ich pieszczoty odpowiadała co chwila wdzięcznym uśmiechem. Wsuwały się między jej kruczę włosy, dmuchały w jej długie rzęsy, potnie podnosiły rąbek jej białej szaty, a wśliznąwszy się pod nią i skradłszy pocałunek z jej różowego ciała, uciekały szybko, ażeby znowu powrócić. Ona nie płoszyła ich i poddawała się tym niewinnym zalotom. Przymknęła nieco oczy, w których z pod powiek przeblyskiwał żar

utajony; czoło białe, niby wykrojone z liścia nenufaru, podparła delikatną ręką, twarz piękną, na której jak gdyby róże, lilie i jaśminy złożyły swą najczystsza świeżość i najcieplejsze barwy, owiała pogodnem zadowoleniem, nozdrzami łagodnie zagiętego nosa i kielichem ust rubinowych piła zapach otaczających ją kwiatów, wypuściwszy swobodnie z pod sukni kształtnie zagięte ramiona i drobne stopki, płytkimi trzewikami ujęte.

Od północy szedł ścieżką gaju mężczyzna młody, z twarzą śniadą, ciemnym włosem okoloną. Na kiju przez ramię niósł zawiniątko małe, na którym, zarówno jak na jego obcisłem, góralskiem ubraniu i kapeluszu, z czoła zsuniętym, osiadł gęsto kurz podróżny. W twarzy wędrowca, w jego wzroku zmętniałym, mieszał się smutek z rzewną powagą. Spostrzegłszy kobietę, przystanął; ona porwała się z murawy i, otarłszy twarz z marzenia, zwróciła kroki ku stojącemu nie-daleko domowi.

— Nie płosz się, piękna — rzekł — oczami tylko hołd ci złożę i pójdę dalej, błogosławiąc drogę, która mnie tędy przeprowadziła.

— Może zdaleka dążysz i długą jeszcze masz podróż — odparła nieśmiało — spocznij w tym gaju i jego cieniem się pokrzep.

— Drzewa odmówiłyby mi cienia, gdybym je obecnością moją pozbawił twojego widoku. Więc zostań tu dla nich, jeśli chcesz, ażeby one były łaskawe dla

mnie. Istotnie, zdaleka przychodzę i kresu wędrówki jeszcze nieprędko dosięgnę.

— Pozostanę, bo wszystkie te drzewa są moimi przyjaciółmi i jedynie ty między nami będziesz obcym.

— Nie lękaj się, nie jestem ani złym człowiekiem, któryby cię skrzywdził złą wolą, ani przebrany bogiem, któryby cię uniósł przemocą.

— Bogowie na ziemię nie schodzą.

— Bo zginęli.

— Co ty mówisz?

— To, o czem powszechnie wiadomo: wiozł ich okręt, płynący po obłokach, który rozbił się o słońce i zatonał wraz z całą załogą. Ludzie z ziemi pośpieszyli na ratunek i próbowali niektórych ocalić, ale daremnie. Czytałem o tym wypadku w księgach poważnych. Ale nie martw się, śliczna ozdoba natury, bo chociaż bogowie potonęli, gospodarstwo świata jest tak mądrze urządzone, że bez nich prawidłowo rozwijać się będzie.

— Ja cię nie rozumiem, przechodniu, z obcej zapewne przybywasz krainy, gdzie myśl człowiecza z obciętemi skrzydłami chodzi po ziemi i ziarnka wygrzebuje, spoglądając ku niebu jednym okiem po to tylko, ażeby zobaczyć, czy tam nad nią jastrząb się nie waży. A może skwar dzienny duszę twoją marami otoczył?

— Wymowniejszą jesteś, niż sądziłem — to dobrze. Nie pojmujesz mnie dlatego, że słowa moje w prze-

locie do uszu twoich ziębną i siłę tracą; gdybym mógł gorące pocałunki ustami mojemu na twoich odciskać, przekonałbym cię niezawodnie.

— Opuścić muszę ten gaj, skoro w nim takie słowa brzmieć mają.

— Nie odchodź, najpiękniejsza z róż tu kwitnących; jeśli tego wymagasz, będę tak milczał jak ten cyprys, który chłodną kiść na spieczonej głowie mi położył.

(Wietrzyki, jak gdyby strwożone, zaczęły przelatywać od mężczyzny do kobiety, siadać na ich wargach i oczach, krążyć około ich piersi i szeptać coś do uszu tajemnym szmerem).

— Prośba twoja opłotła mi serce, jak bluszcz urnę, i zatrzymuje mnie na miejscu.

— Niech życie tę szlachetną urnę, jeżeli jeszcze pusta, za taką dobroć napelni najczystszą i najśodsza miłością. Pewnie o tem marzyłaś, gdy cię spłoszył...

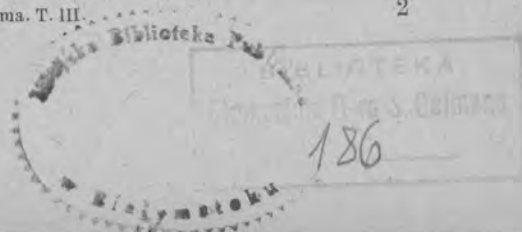
— Uczucia moje jeszcze nie splatają się w wianki i nie płoną gromnicami dla żadnego obrazu.

— A wyglądałaś tak, jak gdyby przed chwilą ktoś cię oczarowaną opuścił...

— Książę tędy przejeżdżał i pozdrowił mnie łaskawie kilkoma wyrazami.

— Zapewne poluje w tej okolicy na urodziwe łanie i ciebie mu wytropiono. Nie poczułaś po jego odjeździe bólu od celnej strzały?

— Nie obrażaj go bez potrzeby, on jest ojcem narodu.



— I chce pomnożyć swoje dzieci, więc szuka pięknych matek.

— Żegnam cię, wędrowcze, idź dalej i pytaj ludzi, a oni ci zdejmą z języka to bluźnierstwo.

— Właśnie pytałem ich i oni mi je na język włożyli. Wasz książę ogarami szczuje mężczyzn, a wyżłami tropi kobiety; za pieniądze odebrane mężom kupuje kosztowne podarki ich żonom. Jest on właśnie kochankiem swego narodu.

— Taką ci prawdę istotnie w uszy włożono?

— A gdzie bym ją, obcy między wami, znalazł?

— Bolesnie słyszeć, jeszcze bolesniej wierzyć... Układny i strojny pan, który księciu towarzyszył, szepnął mi o nim, że teraz naszą okolicę szerególnymi dobrodziejstwami obsieje.

— Bądź pewną, że znaczną część ich plonu ten dworak zbierze.

— Któż on jest?

— Jeden z łowczych waszego księcia, a może pies ulubiony.

— Za nimi pośpieszał liczny orszak, który śpiewał z zapalem pieśń sławiącą księcia. W przejeździe kilku wesółych młodzieńców uczciło mnie grzecznem powitaniem, tylko jakiś śród nich stary satyr zabawił się rubasznie moim rumieńcem. „Przedziwny owocu natury — zawołał — pozwól, ażeby cię zerwała godna ręka. Książę ma dosyć dla swoich biesiad i choć cię dojrzał, zapomni; ale ja uboższy od niego pamiętać

będę, w bogactwo cię oprawię, zbytkiem otoczę“... Aż krzyknęłam. Odjechał prostak, przesyłając mi ręką czułości...

— Rzetelny człowiek, on ci na mowę prozy przełożył poezję nieczemności. Przywykł obnażać swe żądze, płatać ofiary żywcem, jak ryby dla wydobycia z nich ikry, parskając śmiechem wobec wszelkiej enoty, karmić samolubstwo aż do zatyścia, krople krwi cudzej skamieniać na korale, a lzy na brylanty swych pierścionków — więc przemówił prosto i dlatego wydał ci się tak szpetnym. Jest to rekin morza społecznego.

— I mnie już napastowały nieraz złe przecucia, ale je zawsze rozpędzał spowiednik.

— Czy to klecha z waszej wioski? Spotkałem go odmawiającego pacierze za pomyślność pocciwych ludzi, którzy mu napchali kieszenie, sięgające do kostek. Zbyt czuje sytość własną, ażeby mógł zrozumieć głód cudzy. Im więksi zaś grzesznicy, tem sowitszą płacą mu daninę za wstawiennictwo do nieba. Oni są jego najcenniejszym inwentarzem. Owca goła i chuda mało warta; od wieków strzyżone bywają zwykle tłuste i obrosłe wełną.

— Opowiadano mi bajkę, że w innych krajach, zimniejszych, język sztywnieje, wargi martwieją, gdy przez nie przejdzie szczerzy głos duszy; że między ludźmi uwijają się przeróżne twory, które tamują wylew słów swobodny; tam niedoświadczeni, nierozumni, naiwni, muszą być szczęśliwsi, tam i mnie, stojącej nad

brzegiem życia i niepływającej po jego głębiach, byłoby lepiej, tam nikt nie okryłby świata przed moim wzrokiem ciemną zasłoną. Przelatujesz koło mnie jak tułacz duszającego kurzu... Bądź zdrow i nie wracaj tą samą drogą.

(Motyle i ptaszki powietrzne w gęstych stadkach zaczęły przelatywać między mówiącymi, których twarze rozrzewniła jakaś ku sobie tęsknota).

— Przebacz — rzekł mężczyzna — a niech na tym miejscu, na którym spocząłem, nie zostanie złe o mnie wspomnienie.

— Odchodzisz smutny, więc zabierz na drogę ten kwiatek, który cię rozweselać będzie, a gdy uschnie, oberwij jego płatki i połóż na zrębie skały: wiatr je stamtąd weźmie, gdy będzie biegł w tę stronę i do mnie przyniesie.

— Bodajby w koronie twego szczęścia więcej listków wykwitło i nigdy żaden nie usechł. Ujrawszy cię, nie przypuszczałem, że jak fala morska o brzeg uderzę i słoną wodą cię obryzgam. Mniemałem raczej, że ozięble serce przy promieniach twej cudownej postaci ogrzeję i do mocniejszych drgnień pobudzę. Biło ono dotąd, ale tyle tylko, ile dla podtrzymania życia pracować potrzebowało. Gdy znużone jednostajnym ruchem omdlewało, orzeźwiała je nadzieja, że kiedyś iskra do niego wpadnie i płomień miłości roznieci. Oddalam się z tą iskrą, którą tęsknota będzie rozdmuchiwać a rozpacz gasić. W mgławicy marzeń

moich zaświeciłaś jako gwiazda, choć mi cię chmury przesłonią, ja wzroku zwracać ku tobie nie przestanę.

— Pozostań jeszcze chwilę, niech oprzytomnieje, bo odurzona dusza moja pobiegłaby z płaczem za tobą. Nie umiem już mówić przystojnie, nie władam myślą, ogarnia mnie półsen rozkoszny, czary padają mi na zmysły. Albo uciekaj, uciekaj coby prędzej!

(Wietrzyki obwiały łagodnie czoło opartej o palmę kobiety).

— Już odejść nie mogę, chociaż ty mi rozkazujesz. Po jednej stronie mojego serca stała twoja wola, po drugiej — uroki, ono korzy się przed obiema temi mocami, ale wtedy dopiero ulegnie pierwszej, gdy odejmiesz ostatnią. Jeśli tego żądasz, pobiegnę jak wichry i oblatywać będę naokoło ziemię, omijając tylko ten gaj, w którym kwiaty z piękności twojej wzory dla swych strojów biorą; przyrosną daleko do wielkiego dębu, któremu najwścieklesza burza gałęzi odłamać nie zdoła; ale zgaś wprzód promienie twych oczu, sinym gniewem powlecż wargi, przesłoń twarz gęstą chmurką, niech cię widzieć przestanę, niech nawet twego głosu nie słyszę, tylko życzenie myślą odgaduję.

— Coś ty mi powiedział takiego, że władzę obcą nad moją duszą poczułam? Chwieję się niby wiotka trzcina pod gorącym powiewem, ogarniają mnie tajemnicze płomienie, koło głowy wirują skry niezliczone, wola wybiega na różne drogi i z każdej strwożona się

cofa... Przez litość odwołaj te czary... Ja niezem ci nie zawiniłam, nie chciałam ani wygiąć ku sobie twej drogi prostej, ani zwrócić wzroku twójego... Przędłam w tej samotni rojenia, nie na żadne sidła...

— Jutrzenko smutnego wędrowca, nie oskarżaj twej jasności i mojego dla niej uwielbienia: oboje nie zawiniłiśmy. Ty zaświeciłaś na niebie, a ja, szukając gwiazdy przewodniej, zapatrzyłem się w twój blask, pod którym olśniony stoję. Tak jesteś oddalona ode mnie, że tylko zachwyceniem spojrzeniem dotknąć cię mogę, a ono cię nie pokala, nie przyciągnie, nie skradnie z twych blasków ani jednego temu, któremu wszystkie oddałaś.

— Nikomu...

— Nikomu? Czyż podobna, ażeby one dotąd na żadne serce miłością nie padły i miłością w mojem się nie odbiły?

— Nie.

— Taką dumą natura pierś twoją opancerzyła...

— Raczej trwogą. Koło tego gaju przechodzili dotychczas ludzie albo grzeczni, którzy mi bukiety pochlebstw pod nogi rzucali, albo — jak to sam zauważyłaś — niegodziwi, którzy rozpyloną zrzęcznie obłudą odurzyć mnie usiłowali. Instykt ostrzegał moją duszę tam, gdzie jej doświadczenia brakło. Ani razu nie przeniknął mię rozkoszny dreszcz, ani razu nie zawrzała krew; doznawałam zaledwie przelotnych pod-

nieceń lub niewytlómaczonej bojaźni. Dopiero twoja mowa...

— Pozwól mi skrócić jeszcze tę małą przestrzeń, która nas dzieli, zbliżyć się do ciebie na odległość oddechu i szeptu. Nie nadużyję twej dobroci, nie znieważę majestatu kobiecego, nie zbluźnię płochem słowem, a zamilknę, zanim każesz. Jeszcze chęć twoja na usta nie wybiegnie, ja już ją spełnię. Nie bądź dla mnie skąpszą, niż dla tego drzewa, do którego się przytulilaś i które zgina sztywne konary, ażeby cię nimi uściskać i liśćmi ucałować. Ja twoje ręce i oczy całuję oczami, Boginie ustom czcicieli tej łaski nie odmawiają... Nie pełzam zdradnie, ale idę ku tobie... nie bronisz? Posunąłem się znacznie, rozeznają już niebieskie żyłki twoich skroni, włoski brwi, krążek źrenicy, zetknięcie płatków różowych i białych na twarzy... zdaje mi się, że widzę czerwone kulki krwi pod delikatnym ałsamem twej skóry, ich przyśpieszone tętna...

— Ach, ratuj mnie!

— Ręce zarzuciłaś mi na szyję i o ratunek prosisz? Czy mam je rozerwać, a siebie rozpaczliwie cisnąć w otchłań morza, które tam przy brzegu w skałach zamknięte otwiera chciwą paszczę?

— Nie, ale nie prowadź mnie nad krawędzią przepaści, ażebyś nie stracił w nią, gdzie ścieżka dla dwojga będzie za wązka.

— Nie zły sen, który straszy marami, ale szczery

człowiek, który kocha, w objęciach cię trzyma. Daj mi usta twoje, niech z nich wypiję pierwszy toast naszej miłości. Słodki soku czystych serc ludzkich!...

(Szelesty traw ucichły, wietrzyki zatoczyły wolnym ruchem koła nad połączoną długim pocałunkiem parą, której twarze słońce oblało swym ostatnim blaskiem).

— Noc cię rozkradać zaczyna, niedługo już tylko zostanie mi twój głos i wonne ciepło ciała.

— Wdzięczna jej jestem, że oponą nakryła moją wstydlivość...

— Nie powiesz dniowi, że mnie kochasz?

— Nie jutrzejszemu. Jeszcze sama się z tem do jutra nie oswoję... będę unikała drzew i kwiatów, ażeby tajemnicy mojej nie zdradziły — w słońce śmiało nie spojrzę...

— Dziecko drogie, czemu?

— Do serc kobiecych miłość prawdziwa zawsze wchodzi z obliczem zasłoniętym. Mój drogi, po co ten księżyc wyszedł na niebo i tak ciekawie nas śledzi!

— Usłyszał moją skargę na ciemność i przybywa ze swą bladą lampą. Dobry włóczęga poświecił... Znow widzę włosy, które zazdrośnie czoło i szyję twoją zakryły przed moimi pocałunkami, oczy gorejące, usta w rozkosznym drzeniu, kibić ku mnie przegiętą, nawet stopki odnajduję w trawie... Świeć zacy latarniku, odpędź obłok, który cię goni... przysuń się do nas bliżej, bliżej... niech w mrokach nocy nie wątpię, że ta, którą ukochałem, jest postacią rzeczywistą,

a nie złudnym cieniem. Drzę, jak łożyczka suchego ziela, ażeby nie zbudził się nazajutrz z sercem, w którym miłość, jak igielka magnesowa do północy, zwracać się będzie do mary niepochwytej. Poświadcz przyjacielu i powierniku kochanków, że ona jest, stoi tu przy mnie, pierś swoją do mojej przycisnęła, rękami szyję mi oplotła, czułym uśmiechem koralowe usta zsunęła z perłowych ząbków, które ja całuję... Milczysz? Więc świeć przynajmniej... tak... dobrze... Przy twej latarni pokażę jej zebrany długą pracą majątek, który z sobą w zawiniątku noszę. Oto jest grosz, ofiarowany przez pewnego księcia z własnej szkatuły na zbudowanie akademii; a to skrzepla kropla potu bogacza, która mu wytrysła na nosie przy zapisywaniu się na listę składek dla pogorzalców; to talent wytwornie oszlifowany, którym szklarze przycinali szyby dla pałaców; to nerw zasuszony, który kureczył rękę handlarzowi, gdy ten sięgał po zysk nieprawy; to skrawek mózgu chłopca, który nie zazdrościł wildze skrzydeł i możności objadania cudzych owoców — i tak dalej. W osobnem obwinieciu zaś mam najcenniejszy klejnot: kryształ duszy dziecka nowonarodzonego... Księżyc odszedł znudzony, a może inną parę kochanków dojrzał. Nie gardzisz luba moim majątkiem?

— Tyle zaledwie zebrałeś po świecie?

— Tyle, ale straciłem daleko więcej. Natura włożyła mi do kolebki garść darów, które ja, dorosłszy, kładłem potrosze w każdą wyciągniętą ku mnie rękę

z nadzieją, że je pomnożone odbiorę. Niestety, wkrótce przekonałem się, że poczciwi ludzie, dostawszy ode mnie orzech, gryźli go, zjadali ziarnko i sprawiedliwie ciskali za mną łupiny. Zawiedziony, zubożały, uciekam od nich w góry, ażeby wznieść się jak najwyżej i żyć najodludniej. W przechodzie spotkałem ciebie i zawisłem jak mucha na pajęczej siatce twego uroku.

— Potargasz te wątle nici...

— Gdybym umarł w twoich objęciach, śmierć zabrałaby uśmiechniętego. Lepsze konanie w zachwytach, niż życie w odrzynie i rozpacz. Usiądź droga, pozwól mi upojoną szczęściem głowę oprzeć na twych kolanach, połóż mi na oczach twe dłonie... o tak, tak!... ażeby ich sen nie zawarł i serca w gniazdo węzłowe nie wrzucił. Pod strażą twoją jestem bezpieczny... Nie przypelzną tu gadziny wspomnień, nie zlecą się puszczuki i nietoperze z pieczar życia... natomiast obstąpią mnie duchy dobre... ukołyszają śpiwem, okadzą woniami kwiatów i opaszą wstęgami tęczy wielobarwnych... Już są... słyszę je... widzę... Obraz rzeczywistości znika, w jej ramach rozpina się widok raju... zapominam, co czułem, pamiętam tylko, co czuję... Moja... moja... wiem już jedynie, że cię kocham...

(Wietrzyki zawiąły nieruchomie w powietrzu i nie przerywały ciszy).

II.

DWUGŁOS MIŁOŚCI.

Rojowisko istot pożądlivością wielkich a mocą małych, coraz gwałtowniej zaczęło się zwierać, kłębić i zagryzać, jak gdyby w obawie, ażeby kulista bryła, która je niosła po przestrzeni, nie uderzyła się o zawadę i nie zrzuciła słabo przyczepionych do niej siłą ciężenia w bezdenną otchłań świata. Czasem w przerwach szumu złowrogich szeptów, z wycia dzikich głosów i krzyku zuchwałej głupoty wydobywał się nieśmiało lękliwy ton szczerej miłości, skromnego rozumu lub bolesnego jęku; ale wkrótce tonął, jak woń polnych kwiatów w swędach pobojo-wiska, jak świergot zięb we wrzasku kruków. Chór ziemi był hymnem zwycięskiego gwałtu; jej chwałę jadowite języki wybijały w krwiożerczych paszczach, jak żelazne serca chwałę nieba w dzwonach.

*

Mroki opadały na nią warstwami coraz gęstszemi. Poprzedziły one i zwiastowały Noc, która wkrótce za-

siadła na tronie z kryształów lodu, wysłanym skórkami nietoperzów i obitym na krawędziach żrenicami bazylišków. Unosiły go na swych grzbietach dwie leżące hyeny, za podnóże służył mu zwinięty szakal, a u wierzchu tylnego oparcia kołysał się leniwie zamysłony sęp. Władczyni trzymała w jednej ręce miecz, a w drugiej krzyż opleciony ogonem żywego węża, który wsunąwszy się połową przez ranę boku rozpiętego Chrystusa, przez boleśnie otwarte jego usta wysuwał swoje żądło. Groźna i ponura jej twarz ujęta była w ramy długich, prostych włosów; nad czołem błyszczał wąski łuk księżycy, a po szacie z kruczych piór rozsypały się drobne gwiazdki. Przed tronem, na ołtarzu ze spróchniałych serc, w wydrażonych czaszkach ludzkich paliły się kadzidła, których gęste i ciężkie dymy rozwieszały swe kłęby na wyparach szerokiego bagniska, migającego niezliczonymi plomykami błędnych ogników.

Zaledwie Noc usiadła, upiory jej orszaku, zgasiwszy ostatni promień słońca, zdjęły z ramion swej pani długi czarny płaszcz i rzuciły wicherom, które w tej chwili nadbiegły. Pochwyciły go one, z szumem szerokich skrzydeł uniosły i rozpostarły po niebie. Na tle tego kiru mocniejszym blaskiem odbiły się gwiazdy jej szaty i ogniki otaczającego ją trzęsawiska. Były to jedyne światła w tej ciemności. Wywabione niemi ze swych jam, szczelin i rumowisk przypętały lub przyskoczyły przed tron Nocy różne potwory ziemi.

Sycząc, piszcząc, skrzecząc, mówiąc grzechotliwym i rozdźwięcznym chórem, zaczęły błagać ją o miłosierdzie i łaskę.

— Władczyni potężna, opiekunko słabych i ułomnych, zlituj się nad nami, niemogącymi znieść jasności i żyć w niej bezpiecznie. Pod twoją jedynie osłoną opuszczamy nasze legowiska i spożywamy resztki płodów ziemi, niedojedzone i porzucone przez twory, których oczy nie mrużą się w świetle. Dobroczynna i sprawiedliwa pani, zedrzyj z niebios oslepiającą nas tarczę, zdmuchnij przekłętą pochodnię dnia, zamknij okno świata przed słońcem, które nas razi, w nory i dziuple zapędza, prześladowcom ukazuje. Niech od ściany do ściany przestrzeni rozścielą się zmierzchy i rozepną czarne smugi, niech na żadnym skrawku ziemi nie będzie widniej, niż na dnie morza, niech wieczna ciemność ściiera wszystkie barwy, niech nawet śniegi pomracza.

— Czarodziejko, połóż swe chłodne palce na powiekach oczu z małemi żrenicami i zamknij je snem mocnym. Zawrzyj usta wymowne albo uchyl je tyle jedyne, ile potrzeba do wciągnięcia powietrza płucem, do przepuszczenia lekkich westchnień i chrapliwych oddechów. Nakaż milczenie głosem donośnym i dźwiękiem śpiewnym, niech natomiast odezwą się swobodnie i słyszane będą nasze stłumione szepty i krótkie powświsty. Otul świat ciszą, dozwól ją tylko zakłócać szmerom i na chwilę rozdzierać żywiołom natury.

Dzieci twoje, zagłuszone gwarem życia, stoją pośród niego nieme. Ani drżenie pyłków ostu, ani syk żmii, ani sapanie sowy, ani chrząkanie kreta, ani żalona trąbka komara, ani grzechotka żaby — żaden ton z symfonii, na cześć twoją od wieków granej, nie zdoła się przebić przez muzykę orkiestry dnia. Spraw, wszechmocna, ażeby pierś ziemi nie brzmiała głośniej, niż wewnątrz grobu, w którym szeleszeją drobne robaczki i odbijają się echa gniewów bożych. Niech Bóg tylko ma prawo w naturze huczeć gromem, jak on jeden ma prawo świecić błyskawicą.

— Rodzicielko spokoju, powstrzymaj lub osłab ruch życia, który nas całonie i dławi. Nie możemy ani zdążyć w wyścigu stworzeń zuchwałych, ani mu drogi zagrozić nieprzebytą górą. Szalone wiry kręcą nas w swych kołowrotach i przerzucają sobie wzajemnie, gwałtowne prądy rozmiatają nas i pędzą w dal, jak tuman kurzu. Podczas gdy my pełzamy, przelatuje po naszych ciałach i rozgniata je gromada nieokielzanych bestyj, goniących marę drożnego szczęścia. Matko najdobrotliwsza, niech tętno ziemi zwolnieje, niech Bóg tylko wypuszcza na nią z chmur swe huragany, ale niech jej twory nie idą z nimi w zawody. Spokoju granitowych skał, spokoju zmarłych oceanów, spokoju pustyń piaszczystych — bądź błogosławiony!

Noc dała znak łaski pochyloną głową, za który rzesza, zgromadzona przed jej tronem, podziękowała przeciągłym wybuchem pisków, skowyczeń, ryków,

który aż odbił się o strop niebios. Ciemność tak zsiadła się, że w niej znikła postać władczyni, jej tron wraz z godłami i orszakiem, nawet jej sierp księżyca, gwiazdki jej szaty i błędne ogniki. Najbardziej rozszerzone źrenice nie mogły dojrzeć niczego. Słychać było tylko trzepotanie skrzydeł, tarcie wijących się ciał, ciężkie podskoki lub złośliwe warknięcia.

Nagle, ponad tem zbiorowiskiem, jak iskierka w czarnym węglu, zaświecił w mroku maleńki robaczek, który płynął na spokojnych falach powietrza. Natychmiast prześlizgnął się po ciszy syk, gruchnęły pomruki, wreszcie odezwały się wycia, powstał zgiełk, gonitwa — i biedny robaczek w jakiejś paszczy zginął. Teraz i on, choć również gwiazdka Nocy, w jej płaszczu błyszczeć nie mógł.

Rozdrażnione walką o ten drobny łup, a głodne drapieżce zaczęły coraz głośniej szczyrzyć ku sobie jadowite i ostre zęby. Tu i ówdzie szarpnięty i zraniony odskomlił krzywdę lub pomścił ją na innym, tu i ówdzie wpadł w ciszę krótko ucięty śmiertelnem uderzeniem krzyk. Napaści stawały się coraz częstsze a ich odpory — rozpaczliwsze. Ziemia po kilkakroć zastękała boleśnie.

Sen jej dzieci był ciężki i dręczący. Niektóre z nich opuściły swe łoża i nieobudzone wyszły na pola, przesuwały się wolno wśród drzew leśnych lub stawały zadumane nad krawędziami obrywów przepaściowych. Gdy do uszu ich dobiegł odgłos zajadłej

walki, cofały się instyktownie i przerażone przyspieszały kroku w stronę przeciwną. Gdzieniedzie błysnął kaganek w ręku istoty, od której sen pierzeł i którą echa krwawych zapasów wypłoszyły z noclegu. Ale krótko wzbijał się wokół niej zamieszany z różnych wrzasków zgłęb, wśród którego gasły owe płomyki, a na ich miejscu tryskał głęboki jęk.

I ziemia brzmiała hymnem zwycięskiego gwałtu.

*

Ciemność nie pruća się, a całun nocy wciąż wisiał rozpięty na obłokach. Powoli wiatr zaczął je kołysać, fałdować, zganiać i rozpędzać, spajać i szarpać, związać i rozciągać na frendzle. Kilka kłaków czarnych odarł od stropu i eisnął, a odsłoniwszy płyty jasności, zleciał na ziemię, skręcił z liści i piasku słup tańczący i obniósłszy go po polach, rozdmuchnął. Tymczasem u sklepienia nieba nabrzmiała ciężka, czarna chmura, w której tonie odzywały się głuche grzmoty. Przewalała ona ciągle swe olbrzymie kłęby, leniwa a niespokojna, ślepa a groźna. Nie otworzyła oczu, nie błysnęła ani jednym promieniem gniewu, wywinęła jedynie swe wielkie cielsko, a przecież, chociaż zdawała się zasypiać, zionęła walcą, bo drżała burzą. Jej złowrogie turkoty rozlegały się długo i coraz głośniej. Nareszcie zaryczała wstrząsającym, przeciągłym hukiem i wylała na ziemię potoki deszczu, które od ziemi do nieba przeciągnęły się lasem strun płynnych.

Wszystkie twory nocy wsunęły się do swych schronisk. Na otwartej ziemi pozostało tylko to, co do niej przyrosło. Nawet wiatr wskoczył na wierchołki drzew i uciekł z nich w obłoki, które objęły świat ciemno-szarą pokrywą. Burza pieniała się.

Wkrótce strumienie deszczu pozaciekały we wszystkie szpary, ponapelniały każde wgłębienie, każde wydrążenie ziemi, która, wygładziwszy swe dolki, bruzdy i zmarszczki, zaszklila się gładką powierzchnią. Nawet cienkie wężyki potoków, wijące się w głębokich rowach, nabrzmiały aż do brzegów, a na skrętach i spadkach najeżyły swe płowe, szumiące grzywy.

Wreszcie woda, buchająca z chmury, zaczęła podrywać lepianki i domy. Przerażeni ich mieszkańcy wybiegli pół-nadzy, z nieprzetartym snem na oczach, wśród szumu, plusku i ciemności tulali się bez drogi i celu, uciekając od śladów, które za sobą odcisnęli i które woda zalewała. Ogólna trwoga oswoiła i zobojętniła wzajemnie wszystkich. Jagnię ocierało się o lwa, zbrodniarz szedł obok męczennika, ladacznica — obok siostry miłosierdzia. Z najrozmaitszych istot tworzyły się i rozpręgały przypadkowe grupy. Nikt nie wiedział, dokąd dąży. Burza, spastwiwszy się nad ziemią, nieco ochłonęła. Przestała przynajmniej pluć spienioną ulewą, chociaż nie ściągnęła z niebios ponurej opony, za którą grzmiały ciągle jej gróźby.

*

Nad wyniosłem urwiskiem, pod którym przebiegały rozczochrane fale, stał mężczyzna młody w bluzie, przepasanej sznurem. Szerokie wyloty głęboko obnażyły mu ręce, a odwinięty kołnierz — szyję, na której odchyliła się bladą twarzą ku niebu nieruchoma głowa. Usta miał nieco otwarte i gorączkowym oddechem przypalone, nozdrza mu drgały, brwi ssunęły się surowo nad oczami, w których odbijała się łuna dogasającego pożaru duszy. Czoło jego lśniło się taką białością, że go mroki przyćmić nie mogły.

Stał długo niemy, wreszcie szepnął cicho.

— Czy prócz ziemi niema w przestrzeni innego przytułku dla człowieka?...

Opuścił głowę, powiódł znużonym wzrokiem w około siebie i zatrzymał go na jakimś białym owalu ludzkiej twarzy, którego cienie nocy również zatrzeć nie zdołały.

Błyskawica zygzakiem rozpruła chmurę i rozjaśniła cały widnokrąg.

Przy jej świetle mężczyzna ujrzał nieopodal młodą kobietę, siedzącą na odłamie skały, z zaplecionymi rękami patrzącą w nurt potoku, który kipiał pod jej stopami. Smukłą kibić otulała biała tunika, zaginająca się wdzięcznie po łukach jej ciała, które z pod osłony przebijało się całym bogactwem swych kształtów i linii. Bujne piersi falowały lekkim ruchem, włosy rozbiegły się w puklach po szyi i muskały ją łagodnie. Nad twarzą tak przecudnego wykoju, jaki tylko geniusz wyrysować a natura stworzyć zdolna, pastwił się okru-

tny smutek, który skamienił jej oczy w dwa martwe szafiry, niełamujące promieni stłumionego życia. Czy pożądlivy nurt wabił ją w swe zimne objęcia?

Gdy przy ogniu błyskawicy dostrzegła mężczyznę, w oczach jej zamigotał lotny uśmiech. Wstała i podszła ku niemu.

— Urokiem padłeś mi w serce — rzekła do niego — pozwól mi zginąć i żyć z tobą.

— Kto jesteś piękna?

— Kobieta, którą wichur oderwał od ziemi i miota po niej.

— On panuje nad nami, a ślubów nie daje zakochanym, lecz łączy przypadkiem tych, których razem w dłoń swą pochwyty i zgniecie lub rzuci.

— Mylisz się, on tylko jednej miłości potargać nie może. Czyś jej jarzących się węzłów nie widział na tle tej czarnej otchłani, w którą wzrok ciskałeś?

— Alboż mnie kochasz?

— Marzenia moje dawno cię znają; dotknij ręki mojej, ażebyś była pewną, że nie jesteś snem rozwiwnym, lecz urzeczywistnionym.

Ujął ją za rękę i wpatrzył się w jej twarz natchnioną, w której oczy zapalał gorzeć zaczęły.

W tej chwili burza z ogłuszającym hukiem strzeliła błyskawicą, która, połamawszy się jak szeroki pas złotolity, jednym końcem zaczepiona o niebo, drugim uwięzła w ziemi pod stopami owej ludzkiej pary i zeszytywniała w powietrzu, tworząc taśmę stromej i krętej

ścieżki. Płaszcz nocy spręgowiała ona jasnemi smugami, a wzdłuż spodu tej napowietrznej drogi stały w czarnej otchłani przezroczyste słupy, które ją podpierały niby szeregiem świetlnych kolumn.

— Słyszałam twoje słowa obrzydzenia dla ziemi — rzekła kobieta — opuść ją i wstąp ze mną na ten szlak błyskawiczny. Może jakaś dobra siła naprzekór złej umocowała piorun w przestrzeni, ażebyśmy po jego stopniach wzniesli się nad gniazdo niecnych żądz ludzkich do innego świata, gdzie noc tronu swego nie zastawia i opon nie rozściela, gdzie słońce we wszystkich duszach się przegląda.

— Usta twe otwierają się ku mnie, jak kielich kwiatu woniejący pokusą, a wyrazy zlatują z nich, jak tęczowe motyle i osiadają mi na sercu. Czy ta urna popiołów, którą w sobie noszę, miałaby zapalić się ogniem twoich czarownych spojrzeń? Nie uwódź mnie, jeśli chcesz jedynie prześlizgnąć się po mojem ciecie, jak dreszcz rozkoszny a niezdrowy.

— Nie wahaj się, skoro nie zostawiasz za sobą nic, czego byś nie oddał za to, co cię spotkać może, skoro tylko rozpacz przycisnęła cię do swego łona i karmi gorzką pierśią.

Weszli na świecąca drogę i zaczęli w milczeniu posuwać się ku górze. Mężczyzna przystanął — kobieta zapytała:

— Zmęczyłeś się, czy żałujesz ziemi, od której cię odwiódłam?

— Pająk na nitce swej wątłej siatki mógłby mnie od niej odciągnąć, gdybym wierzył, że gdzieindziej znajdę ukojenie dręczących smutków. Szczęśliwy leży tam kamieniem, nieszczęśliwy — puchem, zawsze gotowym do odlotu, byle z nadzieją. Dusza moja rozbiera się teraz z chłódów ziemskich, jak z wilgotnych szat i przywdziewa ciepłą mgłę upojenia. Stąpam w miękki obłok, oddycham spokojem, jest mi lepiej — dobrze... błogosławić cię będę ostatnim wyrazem warg moich, jeśli uprowadzisz mnie z tego pola walki, gdzie zwycięski występki naigrawa się konającej enocie.

Kobieta oparła rękę na ramieniu mężczyzny i pieściła jego uszy czulą mową.

— Wierz mi, jak wierzysz swym najszczerzym uczuciom. Pokochałam w tobie wszystko, a nie najmniej boleść pokrewną mojej. Gdybym mogła, pozbierałabym rozproszone po ścierniskach życia krople skrzepłych łez twoich, nanizala je na promień słońca i zawiesiła je sobie na szyi. Ta rosa twego serca powinna była padać na pierś moją.

— Zamieniłaby się ona w korale, tak była krwa-wa. Jeśli cierpienia człowieka są przejawami jakiejś jednej siły, to chyba los dla dogodzenia swemu okrucieństwu kradnie naturze najwrażliwsze dzieci i pastwi się nad nimi. Przyrzeka im wszystko, a gdy na jego obietnicy oprą swoje życie — odmawia wszystkiego. Ledwie ukończyłem lata młodości — a już dusza moja

jest schnącym, bezlistrem drzewem, które nie przetrwa zimy i nie doczeka wiosny. Obejrź się za mną, albo tylko sięgnij uchem w tę czarną przepaść, na której dnie leży ziemia. Czy słyszysz szum mętny, czy odróżniasz w nim głosy błagalne, tryumfujące, rozpaczliwe? Czy wiesz, w jaką ogólną harmonię one się stroją?

— Uciekajmy!

— Nie śpiesz się.

— Uciekajmy, bo może stamtąd wleczą i dogonią nas furye, które ścigały moje ciało na łup dla rozpusty, obsypując zdradliwie iskrami namiętności.

— Nie—bezpieczna poza okółem zwierzęcych ściągów, wsłuchaj się spokojnie w tę harmonię zgrzytów. Dotąd ją tylko czułaś, teraz o niej pomyśl. Czy wiesz, czemu ona taka dzika, wściekła, ohydna? Bo za słabo brzmi w niej dźwięk, którego ty daremnie szukałaś i ja nie znalazłem.

— Odsuńmy się jeszcze dalej od ziemi, która nas jak przepaść ciągnie.

Zaledwie uszli kilka kroków, mężczyzna znów zatrzymał się i mówił:

— Zagadki poznania każdy otwiera innym kluczem, ze skarbeca tajemnic każdy wykrada inną prawdę, którą uważa za nieomylną busolę i chce nią wyznaczać kierunek wszystkim. Gdy za nim nie podążą i ze swoimi wskaźnikami w różne strony się rozbiegną, on ich dopędza i chłoszcze złorzeczeniem; gdy jego

przewodnictwu się powierzą, prowadzi ich dłużej lub krócej, wreszcie ustaje zmęczony błędzeniem i radzi, ażeby towarzysze zaufali własnym przecuciom. Wiedza człowieka uszlachetnia i obdarza siłą, wiedza ludzi zbliża wzajemnie, ale ich trwale nie spaja mocnymi ogniwami. Nad ludzkością, jak nad jej siedzibą zatonął się krąg ciemnoty, który niby rzeszotem zasłania nam słońce prawdy; przepuszcza on tylko przez niezliczone dziurki pojedyncze jej promienie, w których zawieszamy się i drgamy jak luźne pyłki. A i ciebie czy pokrewna wiedza ku mnie popchnęła?

— Nie.

— I nie religia, bo nawet żaden Bóg, czczony kornie przez swych wiernych, nie zdołał ich zjednoczyć. Ludzie, którzy wierzą w tego samego stwórcę i rządzcę świata, którzy modlą się w tych samych świątyniach, wyznają te same dogmaty— albo żyją obok siebie zdaleka jak głazy na polu, które można jedne drugimi rozbijać, albo jak rozżarte tygrysy wbijają sobie kły w gardła a pazury w piersi. Stań ponad gromadą, klęczącą przed ołtarzem i skupioną w pobożnym uniesieniu, spuść w nią odłamek cennego kruszcu — jeśli uboga, lub kawałek chleba — jeśli głodna, a zewrże się gwałtownie około ponęty, stłoczy nad nią swe głowy, zmotą ręce, zaskrzypi chciwością i huknie gniewem, wyrzucając z siebie zwycięzcę. Wiążące ją łączniki wspólnej wiary prysną wtedy jak szklane pełtliczki. Wiary zupełnie jednakiej, gdyż najślabszy

w niej odeień różnicy wystarczy, ażeby ci, którzy uznają nad sobą tego samego Boga, mordowali się i zawieszali jako wota w przybytkach jego chwały, zdarte z nienawistnych czaszek skóry. Daremnie religia wmawia w człowieka, że każdy bliźni jest jego bratem, on, zaprzysięgając to powinowactwo słowem, łamie czynem. Słuchaj—czy rozeznajesz w hałaśliwej zawierusze głosów ziemi dwa ich aż do nas tu bijące prądy? To Nowy zakon walczy ze Starym, jak syn z ojcem, którego pragnie wywłaszczyć i z żebraczym kijem na rozstajne drogi wypędzić. Tam znowu na ciele ludzkości jątrzy się druga rana, tam — trzecia, tam — czwarta, tam piąta i setna, a wszystkie fanatyzm rozpalonym hakiem rozkrwawia, gdy zaczynają się zablizniać.

Powiedz, może dojrzałaś lub przeczułaś we mnie współwyznawcę swej wiary? Może mniemasz, że oddam pokłon twojemu bóstwu, a ty mnie za to sercem wynagrodzisz?

— Nie.

— I prawo ludzi rozgradza, ale ich nie łączy. Sypie ono tylko groble i wały, stawia płoty i parkany, tworzy klatki i wędzidła. Ubezpiecza człowieka, daje mu broń, okrywa go panczerem, uzbraja do walki, ale uczucia z uczuciem nie skleja. Nie dokona tego również moralność całym przyborem hamulców. Gdy dobroczyńca przychodzi do nędzarza, nie mówi: wesprę cię, nakarmię, okryję, bo to moja powinność, ale powiada:

wspieram cię, bo budzisz we mnie miłosierdzie. Czy wszakże nawet to miłosierdzie jest magnesem siły, działającej trwale? Wysycha szybko, jak łza na rzęsach powieki. Zresztą choć szata sprawiedliwości jest piękną, występki obcinają jej poły i kroją sobie z nich lamowania i ozdoby dla zbójceckich burek. Temida ledwie ma czem okryć swą nagość, niedługo zostanie jej tylko przepaska na oczach. Gdy i tę zedrze jej niecnota, biedna bogini będzie musiała zamknąć oczy na zdrożności spełniane pod jej wezwaniem. Z miecza jej porobiono zdradzieckie sztylety, a z wag miseczki do mieszania żerów samolubstwa. Tak, towarzyszek moja, moralność najwyższem napięciem swej mocy zdolna jedynie utrzymać ludzi w zgodzie, a przy niemocy — dostarczyć im zaledwie masek obludy. Czy ona kazała ci ujsć ze mną?

— Nie.

— Patrz, na ziemi zamigotały pożary, kto wskakuje w ogień płonących domów na ratunek śpiącym? Mądrzy, religijni, prawi, moralni? Tylko kochający rodzice narażają swe życie dla dzieci, dzieci dla rodziców, oblubieńcy dla oblubienic, małżonkowie dla małżonek, przyjaciele dla przyjaciół — reszta rozumnych i głupich, nabożnych i bezbożnych, uczciwych i podłych tłumem otacza ognisko i przygląda się ciekawemu widokowi. Świat jest obciążony całunem nocy, skotłowany burzą i odmętym zwaśnionych żywiołów; jeżeli kto w nim ocali siebie lub kogoś — to tylko

przez miłość. Tak wszystkie inne liny przy nawie życia popękały lub spętały się w wichrach, że ta jedna trzyma jeszcze żagiel. Byłem nieszczęśliwy osamotnieniem wśród ludzkiego rojowiska, czekałem tylko, kiedy mi rozpacz wyleje z kielicha napój gorzki, napelni go trującym i poda do ust, ażebym wypił toast śmierci. Tyś mnie wskrzesiła słowem, które brzęczało często koło moich uszu, ale nie zagrało nigdy w mej piersi pieśnią zmartwychwstania. Kochasz więc?

— Z serca mojego krew ustąpiła, ażebyś je zajął całe. Kochanku drogi, nie zechciej go opuścić, bo ono już przyrosło do ciebie. Odurzona rozkoszą, mdleję w marzeniu, którego czary rozplywają mi się po żyłach. Szłam za tobą długo przez pustynie, przez moczary i skały, przez zasadzki i skryte sidła, nie pokrępiając się niczem, prócz nadziei, że cię kiedyś ramionami moimi oplotę...

Zawisła mu na szyi. W długim uścisku dusze ich wsączały w siebie pocałunkami czysty zdrój uczuć i pośylały w ciszę podniebną szept dwugłosu miłości.

Tymczasem słupy pod świetlaną drogą czarny mrok zgarnął, jej szlak, zwężając się i kurcząc powoli, stopniał w ciemności, pozostawiwszy tyle jedynie blasku, ile potrzeba było do jasnego odbicia uniesionych nad ziemią kochanków.

Wkrótce burza, owinąwszy ich lekkim oddechem, cisnęła w wir ziemi, w którym dotąd krążą.

*

Gdy noc rozepnie nad światem swój czarny baldachim i zasiądzie na tronie, gdy zgasną światła, zamilkną uczciwe głosy i ustanie ruch, gdy drapieżne instynkty rozpoczną pogoń i walkę, smutni i zrozpaczeni błyskawicznym szlakiem uchodzą w krainę napowietrzną, gdzie ratują się ślubami miłości.

III.

LEW KAMIENNY.

Wejścia do przystani jeziora Konstancyeńskiego w Lindau strzeże lew kamienny, zapatrzony w widniejące zdala śnieżne szczyty Alp Vorarlbergskich.

Opowiem ci bajkę, dla której najmniejsze dzieci są za duże, aby w nią uwierzyć mogły.

— Owszem — rzekła, podnosząc tyle ciekawe, ile piękne oczy.

— Ukochał lew naprzód samotność, więc rozkoszował się i gęstwiną leśną, w której spoczywał tak osłonięty, że go często słońce nie widziało, i płaską, olbrzymim kręgiem w kopule nieba osadzoną pustynią, po której zwykle tylko wiatr chodził i wielkie garście piasku z miejsca na miejsce przerzucał. Bo on jeden nie trwożył się i nie uciekał, usłyszawszy gniew króla zwierząt, a nawet miał odwagę zwichrzać lub głaskać mu grzywę i puszczać w wir płasające przed nim słupy kurzu. Tygrysy, jaguary, wszystkie drapieżce, równym przestraczem zdjęte, jak żyrafy, kozy, antylopy, małpy, o ile nie ginęły rozszarpane i pożarte, pierzchały z okolic aż tam, gdzie ich przerażające ryki lwa najslabszem echem nie dobiegały.

Żył on więc tylko z samotnością, która mu rodziła

niezliczone marzenia. Ale zwłaszcza jedno z tych dzieci umiłował. Szumem z wysoka na ziemię padającego wiatru, głosami z daleka przylatujących ptaków mówiło mu ono ciągle, że gdzieś po za widnokretem wznoszą się olbrzymie góry, które w zawojach z chmur lub w koronach z promieni słonecznych wznoszą nad światem swe głowy.

Poszedł tedy lew dnia pewnego w kierunku, który mu jego marzenie wskazywało. Przebył długą drogę, przepłynął szerokie morza, a owych śnionych wyżyn nigdzie nie spotkał. Zmęczony bardziej zawodem, niż podróżą, gdy mu raz chmury nawet światło gwiazd zaćmiły, legł nad brzegiem jeziora, w którym utonąć zapragnął. Szczebiotało ono do niego czule i wabiło go nęcącym szmerem swych drobnych fal:

— Ukołyszę cię, wypieszczę, ocałuję... Na moim łonie zaśniesz w spokoju, którego ci życie nigdy nie da. Zejdź z dobrowolnej tortury na mięką pościel mojego kryształowego pałacu, przytul się do mojej piersi, która cię nigdy nie odepchnie i dla ciebie bić będzie. Szczęście jest nieczułością i zapomnieniem...

Ale u głowy tułacza siedziało skrzydlate marzenie, które mu przewodniczyło ciągle w wędrówce i które go teraz odciągało od tej pokusy.

— Nie wierz zdradzieckiej namowie. Nie ścigaj śmierci, bo ona cię goni. Ile razy zecheesz, stawi się natychmiast na twoje rozkazy: nie potrzeba jej prosić i wzywać, nie potrzeba po nią ręki wyciągać, bo ona

stoi tuż przy tobie.. Jesteś już u celu twych rojeń. Gdy ranek zasłony nocy pościąga i góry z mgieł omiecie, zobaczysz...

Lew powstał. Przez mroki dojrzał na drugiej stronie jeziora czarne ściany, ogromne skały, czy mury, jak gdyby wynurzone z wody cielska potworów. Miałżeby on za nimi tęsknić, do nich dążyć?

Tymczasem posępne oblicze nieba zbladło; mroki rzedniały, nabierały coraz większej przezroczystości. Powoli zarysowały się rozmaite kształty w otchłani cieniów i występowały barwy z tła szarego. Wszystko, co noc stopiła w jedną czarną masę, zaczęło się wydzielać i wyosobniać.

Lew patrzył ciekawie na to budzenie się natury i jej rozdzielanie z szat nocnych. Na przeciwległym brzegu jeziora stała gromadka gór, owiniętych w mgłę białawą. Jedna za drugą, podejmując ku wierzchowi tę oponę, ścigały ją przez głowy i zawieszały na krawędziach skał wyższych. A gdy brzask rozlał w powietrzu jasność poranku, gdy na niebie zapłonęła luna, poprzedzająca wschód słońca, one już stały nagie i przeglądały się w jeziorze. Były to góry niskie, rodzajne, karmicielki człowieka, obwieszane kiściami ziaren i gronami jagód.

Lew je podziwiał, ale ciągle wzrok puszczał po za nie, dalej, gdzie stały inne, większe, z głowami zatopionymi w puchach obłoków. Jeszcze drzemały, gdyż dopiero dzień je budzi i odkrywa.

Nareszcie cicho i skromnie, jak gdyby nie było panem i żywicielem natury, szeroko rozwartą i niczem niezmacaną źrenicą wysunęło się na lekko wyzłocony błękit nieba świeże, odmłodniałe słońce. Tracone jego promieniami wielkie, dotąd senne góry, zerwały szybko ze swych głów białe zawoje i oblały się strugami światła. Wtedy lew ujrzał widok czarujący. Na śnieżnym czole jednej z gór słońce zapaliło olśniewający dyadem, który błyszczał jak zwieszony z nieba łuk ognisty. Ramiona jej okrywał kołnierz gronostajowy, z pod którego ku dołowi zbiegał płaszcz ciemnego granatu, osyty futrem zielonych drzew i krzewów. Ze słońcem nad głową stała ona wspaniała i majestatyczna, jak królowa, przed którą inne w licznym orszaku pochylili się i upadły na kolana.

Lew wskoczył na ocios głazu, wystający z jeziora, usiadł, patrzył na to urocze zjawisko i powoli w zachwycie kamieniał. A chociaż słońce, odchodząc wyżej na sklepienie niebios, zdjęło swe blaski z czoła góry, chociaż ona znowu owinęła się obłokiem, on ciągle na niej wzrok trzymał.

Nieruchomy, skamieniały, z obliczem w jedną stronę zwróconem, z uśmiechem upojenia i tęsknoty na odemkniętych wargach, siedzi tak od lat wielu na bryle granitu u bramy przystani jeziora. Codziennie przepływają koło niego setki statków i tysiące ludzi, wre nieustanny gwar życia i pracy, przesuwają się coraz nowe obrazy — on nigdy na nie nie spojrzal, ani na

chwile nie odchylił ku nim głowy. Natura przebięra się w rozmaite widoki, czaruje wiosną, odurza latem, siecze deszczami jesieni, mrozi chłodami zimy — on tego wszystkiego nie widzi. Nieraz wybuchały koło niego pieśni wesela, nieraz rozszalała się burza: wicher wstrząsał jego podstawą, znurtowana woda opryskiwała mu oblicze, gromy huczały nad nim, jak gryzące się lwy — on nie zmrużył powieki i nie odwrócił oczu od punktu, w którym je utkwiał. Spokojny i niewzruszony czeka ciągle chwili, kiedy góra, którą ukochał, znowu odgarnie swe zasłony, a on ją w koronie strzelającej promieniami światła pierwszy zobaczy.

I co w niej tak umiłował, że oczarowany nią skamieniał? Czy to, że tak wysoko ponad inne się wzniosła? Czy to, że blaskami słońca tak wdzięcznie się stroi? Czy to, że głowę na niebie oparła i nigdy śnieżnego czoła pyłem ziemskim nie opruszyła? Czy za to, że wielka, czy za to, że niepokalana, czy za to, że w światła natury zbliska spogląda?

Nigdy na te pytania nikomu nie odpowiedział, bo stawszy się głazem, jak głaz milczał.

Tylko czatownik latarni jeziora twierdzi, że pewnej nocy słyszał, jak lew przemówił do jakichś cieniów, które po falach do niego przyszły i dziwnym głosem z odrętwienia go zbudziły. Słowa jego wszakże nie wiązały się w żadną treść zrozumiałą. Mówił, że żyje, myśli i czuje, ale skamieniał na wszystko, co spodem świata się toczy, że cierpi, gdy mu chmury promienne

szczęt przesłonia, ale te smutki roztapia mu w rozkosz jedna chwila widzenia góry w jej majestacie, że największem szczęściem jest zawieszenie wzroku na wysokości, do której kurz walk padołu nie sięga i która nie mdłymi ognikami nizin, ale blaskami podniebia gorzeje. Ten tylko między ludźmi był rozumnym, zadowolonym i szczęśliwym — wyszeptał w końcu — kto tak, jak ja, kochał, i kto do przedmiotu swej miłości nie zbliżył się bardziej, niż na odległość kochania.

Szeroko wieść rozniosła te słowa, które usiłowano złożyć w jasne rozwiązanie zagadki — ale daremnie. Lew pozostał sfinksem.

Siedzi on dotąd kamienny na kamiennym zrębie i patrzy w zachwyceniu ku górze, czy ona płaszczem się otuli, czy rozdziana z cieniów uroki na jego oczy rzuca. Zdaje się, że widzi on coś duszą nawet wtedy, kiedy wszyscy nie mogą niczego dojrzeć wzrokiem. A ponieważ znudził ludzi swem osłupieniem, więc uznali, że nie żyje, a jego rozmowa z cieniami czatownikowi się przyśniła.

— A ty jak sądzisz? — spytała słuchaczka.

— Ja sądzę — odrzekł — że w bajce wszystko jest możliwe.

IV.

WESELE SATYRA.

Wiesz, że Satyr był pięknym za młodu, a skutkiem czego później okropnie zbrzydził? Otóż tajemnicę tej przemiany zachowała bajka:

Przez całą noc kazał Apollo chmurom wchłaniać pary wodne z morza i weczesnym rankiem rozlać je po lasach i niwach Skapolu. Nim zapalił na niebie gwiazdę dnia, już one rześistym deszczem ochłodziły powietrze ze skwaru i omyły drzewa z kurzu, obudziwszy w barwnych ustach kwiecica rozkoszne wonie. To też źrenice dobrego boga spromieniły się szczerem zadowoleniem, gdy spojrział na ziemię i spostrzegł, jak ona, przybrana w świeże barwy, pachnąca i blaskami uśmiechnięta, obchodziła uroczyście gody Satyra i Teryi, którzy w czułym uścisku, całując się rozmarzonymi oczami, wracali ze świątyni, gdzie przysięgli sobie związek sere dozgonny. Szli w otoczeniu krewnych, przyjaciół i poddanych, szczęśliwi, rozkochani, wdzięczni losowi, który im spotkać się w labiryncie życia pozwolił, i niebu, które im tak wyraźną

dziś okazywało łaskę. Terya opasała ręką męża, śliczną, bujnie czarnym włosem obrzuconą główkę sparła lekko na jego ramieniu, upojonemi od zachwyty wargami w drżących szeptach powtarzała mu słowa miłości, a on przyciskając ją do siebie, to obejmował całą jej postać gorejącym wzrokiem, to pił słodycz z jej warg drobnych przeciągłymi pocałunkami. Zorza miłości, która na jego twarzy jaśniała, czyniła go piękniejszym, niż zwykle. Zdawało się, że od śnieżnego czoła, od dobrych oczu, od wszystkich czarów żony padały na niego nowe uroki. Płowe i miękie włosy spłynęły mu łagodnymi falami aż na ramiona, lica skraśniały zdrowym rumieńcem, nozdrza rozdymało miłe wzruszenie, w modrych oczach płonął ogień, a szeroka pierś nabrzmiewała westchnieniami błogości.

Matce jego ukazał się we śnie Apollo, więc urodziła syna podobnego temu bogu pięknością i siłą.

Właśnie orszak weselny zbliżał się ku domowi nowożeńców, gdy doleciały do niego zmieszane echa jakiejś muzyki, krzyków i śpiewu, a wkrótce wysypała się z wąwozu gór pstrokata i wrzaskliwa drużyna. Przodem biegł stary kozioł, za nim śpieszyli mali chłopcy, obwieszeni blaszanymi brząkałkami; następnie posuwały się w namiętych płasach półnagie, bluszczem i kwiatami przybrane dziewczęta, śpiewając i co chwila nagniatając sobie w usta sok gron winnych; dalej szli obnażeni młodzieńcy, grając

na fletach, trąbkach i piszczałkach; pochód zamykali starcy, którzy, podrygując i zataczając się, dorzucali do ogólnego gwaru lubieżne okrzyki. Cała ta gromada miała na głowach wieńce, cała była pijana winem i nocną rozpustą. W środku niej, dźwigając ogromne cielsko na obrzękłych nogach; z czerwoną twarzą i przymkniętymi powiekami, z pasmem śliny u obwisłych warg kroczył, podpierany i ciągle upadający, senny i podnietami kobiet budzony — Bachus.

Terya, spostrzegłszy go i rozpoznawszy jego otoczenie, przycisnęła się trwożnie do męża i szepnęła:

— Zejdźmy im z drogi, ucieknijmy.

Ale zanim zdolali zboczyć w gaj przy drodze, już nadciągająca czereda zobaczyła ich i, powitawszy z od dali dzikim wrzaskiem, podążyła ku nim śpiesznie i wnet otoczyła orszak weselny. Otrzeźwiony nagłym ruchem i nadzieją nowej rozrywki Bachus, oprzytomniał, odzyskał rzeźkość w nogach a żywość w twarzy.

Evoe! gołąbki moje — zawołał z hulaszczym zapalem. Ale — fe! — przestańcie być parą gołębi, które gruchają i całują swoje dzioby długo, a Wenereę czezą krótko. Niech każde z was będzie dla drugiego winną jagodą, ciągle leżącą między zębami, która wysączywszy pod ich naciskiem swój płyn, zaraz napelnia się nowym. Nie spuszczaaj ocząt, Teryo. Naprzód masz za ładne, ażeby je powiekami osłaniać, powtóre powinnaś uważnie wysłuchać, co ci mówi bóg, patron szczęśliwego życia i opiekun wszystkich uciech.

Nimfy, które mi dziś doniosły, że Skapolowi ubędzie jedna dziewica, gdym je zapytał, czy ładna, zamilkły, sine ze złości. Rzeczywiście jesteś tak piękna, Teryo, że Satyr obmierźnie bogom i ludziom, gdy cię sam będzie posiadał. Czy równie słodka, jak śliczna.

— Boję się ją chwalić — odrzekł Satyr — ażeby który z nieśmiertelnych mi jej nie zabrał, bo z śmiertelnymi sobie poradzę.

— I za cóż ty ją tak zawzięcie pokochałeś? Czy tylko za ponętą łupinę?

— Boję się mówić głośno, gdyż zapewne bogowie wychylili głowy z nieba i nasłuchują. Niech ci to wystarczy, że kiedy ją poznałem, uczułem nagle w duszy mojej jakąś dziwną swobodę: myśli wyrwały mi się z głowy jak ptaki, którym rozwiązano skrzydła, uczucia tryskały jak źródło, któremu otworzono wylot w skale...

— Rozumiem, rozumiem, takiż sam wpływ wywiera wino, które również wszystkie pożądania wyzwala. Nie darmo twoja żona otrzymała po urodzeniu imię *Eleuteria* — swoboda, tylko przez skrócenie nazwano ją Teryą. Wiem o tem, bo jej ojciec prosił mnie w częstych modłach, ażebym jako bóg łagodnych obyczajów wziął ją pod moją opiekę.

— Ciebie prosił, Bachusie?—spytał wylekły Satyr.

— Tak, mnie. I dlatego dziś wyprawię wam wspinałą ucztę. Prowadźcie nas do waszej siedziby. Hej, dzieci — zawołał zwracając się do swej drużyny —

za mną! Grajcie i śpiewajcie, niech cały Skapol zabrmi weselem, niech przytomność opuści wszystkie głowy, niech rozum stopnieje w szale, jak lód w słońcu, zamieśmy się wszyscy w jedno winne grono, a dom tych nowożeńców—w kielich życiodawczego napoju. Nie tul się do męża, wystraszona Teryo—wszak my czcić będziemy tylko święto twoich z nim zaślubin. A ty, Satyrze, nie patrz na nas wzrokiem jelenia śród stada wilków. Wstydz się, brodata babo. Przecież ty niedawno celnym rzutem kamienia ważyłeś się okulać Tytana. Wyglądasz, jak śmiały byk, a drżysz tak, jak gdybyś truchlał, ażeby cię zając nie przebódl uszami. Jutro żadna żaba nie odskoczy ci z drogi, ale każe się zdaleka ominąć. Teryo, ty nie poślubiłaś mężczyzny!

Tymczasem oba orszaki zmieszały się i śród drażniącej muzyki, rozdieranej pokrzykami, szły drogą leśną ku siedzibie młodej pary. Na czele biegł w żywych podskokach kozioł.

Podniecony szyderstwem Bachusa, Satyr zaczął powoli odurzać się ogólnym szałem i przyjmować udział we wszystkich jego wybuchach. Opuścił Teryę i oplótszy kibić jednej z bachantek, śpiewał z nią łaśkotliwe piosenki. Rodzice jego, usłyszawszy zwichrzone odgłosy tego pochodu, wyszli na próg domu, ale spostrzegłszy hałaśliwy tłum, cofnęli się zdziwieni i zatrwożeni.

— Co to jest?—spyтали wehodzącego Satyra.

— Moje wesele — odrzekł i kazał wynieść na dwór wszystko, co przygotowano do ucztowania gości.

Biesiada to była skromna, ale natychmiast za drużyną Bachusa nadjechały wozy, naładowane owocami i beczkami wina.

Ciągle napelniane kielichy zaczęły krążyć wśród uczestników, odezwały się namiętne melodyami fleuty, piszczałki i bębny, spłynęły się z niemi ochocze śpiewy i całe zebranie, porwane gorączką zmysłową, puściło się w tany. A Bachus, usiadłszy na grzbiecie swego kozła, przyglądał się uśmiechnięty temu wirowi i splotom giętkich ciał, nieustającej pijatyce i niemilknącym chichotom. Tylko od czasu do czasu wołał:

— Satyrze, Teryę ktoś uwiódł.

Wtedy Satyr, jak gdyby w serce ukąszony, nagle przytomniał i blady, z oddechem mściwego gniewu szukał żony. Ale znajdował ją zawsze przy swych rodzicach, smutną i zapłakaną.

— Teryo — krzyknął raz wreszcie — dosyć tej łzawej rosy! Bawimy się dla ciebie, więc baw się z nami.

Wyciągnął ją za rękę i wrzucił w taneczny odmet. Natychmiast pochwycili ją pijani biesiadnicy.

— Tylko niewolnikom i poddanym od niej wara! — ostrzegął Satyr.

Ona poddawała się spokojnie wszystkim, którzy ujmowali ją w swoje objęcia i zataczali z nią kręgi, a nawet dotykała ustami podawanych jej czar, ale ulegała niema i jak gdyby w swej woli zgwałcona.

Ile razy wszakże mogła, wymykała się do domu, skąd ją Satyr znowu wyprowadzał i do zabawy zmuszał.

Noc nie uśmierzyła szału, owszem, rozkielznała go jeszcze bardziej. Wszystkie więzy, którymi dzień namiętności krępował, teraz popękały i oswobodziły każdą żądzę. Wesele rosło nie tylko w natężeniu rozpusty, ale i w liczbie jej uczestników. Nadoścignęły bowiem roje mainad, mimallon, bassarid, pięknych i szpetnych nimf, młodych czcicieli i towarzyszków Bachusa, których on w swej wędrowce po rozmaitych miejscach pogubił, a obecnie zwołać kazał.

Jutrzenka, wybiegłszy o brzasku na niebo i spojrzawszy na ziemię, cofnęła się wstydliwie za osłonę błękitu; ostrzeżone przez nią słońce weszło w gęstym zawoju z obłoków, które przepuściły tylko nikłą i posępną jasność jego oblicza. Ale uczestownicy nie zauważyli tych znaków; chociaż znużeni pijatyką, tańcem i wyuzdaniem, z zapadłymi policzkami i błędnym wzrokiem podrzucali dalej omdlałe ciała i wypróżniali kielichy.

Trwała ta biesiada dni wiele z małemi i rzadkiemi przerwami, o ile ich pokrzepienie osłabionych sił wymagało. Nie zakończyła jej ani śmierć rodziców Satyra, których Terya z niewolnikami pochowała, ani odjazd Bachusa. Zostawił on bowiem część swego orszaku dla podtrzymywania wesołości; na miejscu, gdzie siedział, postawił swój drewniany wizerunek

z ołtarzem, mianował Satyra swym arcykapłanem, jego dom — swą świątynią, a cały Skapol — umiłowaną dzielnicą swego królestwa.

Satyr był dumym ze swej godności i zadowolonym z życia. Wyprawiwszy poddanych i niewolników do winnic i na pola, ażeby go zasilali owocami swej pracy, nie przestawał używać i mnożyć uciech bez końca. W chwilach nadmiernego zmęczenia bawiono się grą w kostki, skakaniem chłopców na jednej nodze z miskami oliwy, nabijaniem strzałami z łuku pięć niewolników lub układaniem swawolnych piosenek. Terya należała do tych rozrywek, ale niezmiennie smutna i coraz bardziej znękana.

Pewnego wieczoru cały widnokrąg Skapolu obciągnął się ciemno-żółtawymi chmurami, w których ryzały i połyskiwały ślepiami spuszczone z łańcuchów przez Apollona gromy. Ziemia trzęsła się w przestrzeni, jak miotane wichrem jabłko, lasy przyginały się na niej, jak wążła szersze łamy, a wody, zaparte gwałtownym wiatrem, stawały w swym biegu. Wreszcie burza lunęła potopowym deszczem i zasiała powietrze ciemnością, w której jedyne światłami były tylko błyskawice piorunów.

Rozproszyła ona gości Satyra, którzy bądź chronili się do swych domów w Skapolu, bądź odbiegli do przebywającego w sąsiednich górach Bachusa z obietnicą rychłego powrotu.

Pozbawiony towarzystwa a przytem zmęczony i wy-

czepiany z sił, legł Satyr na łożu i po raz pierwszy od dni wielu zasnął.

Sapał twardo i oddychał chrapliwie. Terya, uwolniona od zgiełku, poczuła w bolejącej duszy miłe ukojenie. Usiadła przy mężu, którego tak kochała i który był ojcem dziecka, dojrzewającego w jej łonie, chcąc go pocałować i tem znamięniem miłości zabezpieczyć od nieczystych pokuszeń. Ale zbliżywszy usta ku jego głowie, odchyliła się nagle z niepokojem i odrazą. Teraz dopiero twarz Satyra wydała jej się dziwnie starą i ohydnie skrzywioną, długie uszy sterczały jak śpiczaste języki pod włosami szpecinowato zjeżonymi, a nos wtłoczył się głęboko i wywinął nozdrza. Terya nie mogła zrozumieć tej zmiany i sądziła, że ją ludzi mamidłem słaby płomyk kaganka. Z tą pociechą zasnęła.

Nazajutrz wszakże przekonała się, że Satyr istotnie uległ jakiemuś przetworzeniu, ale ponieważ, zwoławszy swoją rzeszę, rozpoczął ucztować dalej, więc ożywieniem zatarł nieco ślady nabytej brzydoty.

Sród tych bachanalij Terya urodziła syna, który rozdrażnił ojca, bo mu od zabaw odciągnął matkę. Dziecko było urodziwe i krzepkie, ale Terya dostrzegła na jego uszkach ostre wierzchołki, które ją strapiły; znachor wszakże upewnił, że pod przyrządzoną przez niego maścią niewątpliwie znikną.

Niewolnicy i poddani pod dozorem włodarzów pracowali niez mordowanie, więc Satyr miał czem sycić

swoich gości, którzy wywdzięczali mu się hojną pomyślnością w ucieskach, a Bachusa, jak świadczyły przybywające od niego nimfy, radowali wielce.

Wesoło też mijały dni i lata w Skapolu. Tylko rozgniewany, a może zazdrosny Apollo coraz częściej zsyłał wściekle burze, które na czas jakiś wstrzymywały zabawę. Terya urodziła znowu dziecko — córkę, w której zauważyła zbyt splaszczony nossek. Rozjątrzony wymówkami Satyr, któremu broda zrzedniała i przybrała kształt koźlej, zabrał swoje towarzystwo i wywędrował z niem w odwiedziny do Bachusa. Szybko przemykającego boga nigdzie spotkać nie mógł, więc grasował bez celu i stałego kierunku, napadając podróżnych, paląc chaty, uprowadzając branki i drażniąc drwinami Tytana z sąsiedniej góry. Wreszcie zatęsknił do Teryi i wrócił z powiększonym tłumem i zrabowanymi łupami. Pijany, okurzony pyłem, zapragnął kąpieli i kazał się rozebrać. Niewolnik, zdejmując mu sandały, nagle wrzasnął.

— Co się stało? — zapytała Terya i również wydawszy okrzyk przeraźliwy, padła zemdlona.

Satyr zamiast stóp miał kopyta, nogi owłosione a nad nimi ogon. Przedstawiał mieszaninę kozła i człowieka.

Przyjacielska drużyna, zobaczywszy go w tej postaci, wstrętem, czy strachem pchnięta, odskoczyła w płochu. Ale po chwili jedna z bachantek podeszła do osłupiałego Satyry i, głaszcząc mu brodę, rzekła:

— To psota Bachusa, który ją jutro naprawi i zapewne tu zawita. Upodobił cię do swego ulubieńca, ale jeśli go poprosisz lub zagroisz mu buntem, nada ci kształt ludzki. Tymczasem zaś nie trap się, bo kozioł ma największe powodzenie u kobiet. No, wstań i chodź do tańca.

Uspokojony i orzeźwiony tą namową Satyr zdarł z siebie resztę odzieży, porwał Teryę i dał hasło do rozpasanej zabawy. Z winem w kielichu a pianą w ustach, z dzikim wzrokiem i zwierzęcemi poruszeniami ciała tańczył, śpiewał, wył i całował. Ale był to ostatni i sztucznie rozdmuchany żar namiętności. Pomimo wszystkich odurzeń Satyr nie mógł zagłuszyć w sobie strasznej myśli o swoim zwierzęctwie, słyszał stłumione śmiechy i urągania współbiesiadników, więc stanął nagle, powiódł oczami wokoło i buchnął rozpaczliwym łkaniem.

Towarzystwo pierzchło, jak rozdmuchana garść pierza. Teryę odwołały zbudzone zgiełkiem dzieci — Satyr pozostał na dworze sam. Długo stał nieruchomy, niby skamieniały, wreszcie poszedł do ołtarza Bachusa, ukląkł i zaczął się modlić o przywrócenie mu postaci ludzkiej. Drewniany bóg nie odrzekł mu ani słowa, nie okazał miłosierdzia, choć czeiciel błagał go serdecznie i czekał na cud do rana. Gdy blaski świtu odwinęły z nocnych mroków twarz bałwana i gdy Satyr nie dostrzegł w niej nic, prócz lubieżnego uśmiechu, kopnął go nogą i wraz z ołtarzem roztrącił. Potem

usiadł na ławie pod domem, oparł głowę na dłoniach i myślał — myślał nad przeszłym i przyszłym życiem swoim.

Tego dnia jutrzienka nie cofnęła się zawstydzona, a słońce weszło bez zasłony. Satyr jednak nie błogosławił tych gwiazd nieba za światło, bo ono tylko bardziej uwydatniało jego przemianę. Był nagim, odzież w domu zostawił i ukazać się Teryi nie chciał; więc popędził do lasu i tam naprzód z szerokich liści szpilek kolek sosnowych upiął sobie spódnicę, którą na biodrach zawiązał. Ukrywszy w niej koźle nogi, weselszy nieco, wyszukał sobie cieniste ustronie i spoczął. Ale tu znowu wspomnienia otoczyły go rojem os gryzących. Ażeby je odegnać, wykręcił fujarkę z prętka leszczyny i zaczął grać. Z początku wydobywał z niej tony rzewne, ale powoli przyśpieszał ich rytm, nadawał im skoczność, a wreszcie, mimo woli i wiedzy, przechodząc od lekkich ruchów ciała do coraz żwawszych, wpadł w namiętny taniec. W tej chwili przepłynęło po lesie echo:

— Satyrzel!

Był to głos Teryi. Satyr zdrewniał, uczył siekące go jak różgi dreszcze, cisnął fujarkę i, nie odezwawszy się, uciekł. W ostępach leśnych przepędził dni wiele. Słyszał często wołanie Teryi, ale jej nie odpowiadał.

Razu pewnego, rozmyślając w gęstwinie, zauważył, że włosy z jego kozlich nóg same wychodzą i łatwo wyciągać się dają. Spostrzeżenie to wyblęskło mu na

twarz nadzwyczajną radością: zaczął pośpiesznie i starannie oskubywać nogi, które odzyskały ludzką, drobnym tylko puchem porosłą skórę. Powstał z ziemi i kilkakrotnie podskoczył; ale natychmiast jakaś przykra myśl unieruchomiła go zupełnie.

Wieczorem, gdy ludzie z pól zeszedli, podkraść się pod ściany swego domu i zajrzał do wnętrza: Terya, pieszcząc dzieci, mówiła do nich:

— Dziś albo jutro, niedługo ojciec powróci.

— Ale już nie będzie taki straszny?

— Nie.

Satyr nie miał odwagi wejść, ale i mocy oddalić się. Chociaż wszyscy w domu uciehli, on przyczajony pozostał i wśród marzeń o straconem szczęściu zasnął. Gdy nazajutrz otworzył oczy — ujrzał przy sobie Teryę. Zerwał się i chciał uciekać — ona go zatrzymała.

— Bądź z nami wyladniałeś...

Przyjemne ciepło ogarnęło serce Satyra.

— Dzieci twojej opieki i obrony potrzebują — mówiła łagodnie — niedola im grozi. Tytan, przygotowując sobie bryły skał do miotania na bogów i zdobywania nieba, rozbił nasze góry, zniszczył winnice i wydusił ludzi...

— Teryo — rzekł Satyr w uniesieniu — ja go kiedyś zraniłem, dziś zabiję.

I, chwyciwszy z komnaty luk, poleciał jak wiatr w kierunku siedziby Tytana.

Już po długim a daremnem wyglądaniu wyrzucać

sobie zaczęła, że go podnieciła do nierównej i niebezpiecznej walki, gdy na zakręcie drogi ukazał się Satyr. Przesuwał się szybko i jak gdyby lekkim chodem swojej młodości.

— Strzała moja tkwi w jego ślepiu! — zawołał z oddali.

— Satyrze — rzekła wzruszona Terya — ty nie masz... kopyt.

Satyr rzucił wzrok na nogi — rzeczywiście miał stopy ludzkie. Odbicia niewiary i zachwytnego uniesienia zmieniły się na jego twarzy w śmiech łzawy.

— Teryo! — krzyknął rozpartą piersią i zawisł na szyi żony.

Już tylko głowa raziała w nim brzydota, chociaż znacznie złagodzona. Za to główki dzieci spiękniały, ledwie drobnymi podobieństwami przypominając ojca.

Satyr widocznie odradzał się. Pociąg do hulanki w sobie tłumił, z Teryą poważnie rozmawiał, ze służbą pracował, niewolnikom ciężary zmniejszał. W kilka dni po przybyciu i walce z Tytanem, siedział przed domem na murawie z dziećmi, które go już nie unikały i tłómaczył im dobroć słońca, gdy z tyłu nagle padł cień. Satyr obejrzał się i z przerażeniem zabaczył tuż stojącego Tytana. Olbrzym, sięgający czubem do wierzchołków palm obocznych, z jednym okiem wyluskanem i krwią zaciekłym, z maczugą w prawej ręce, ujął lewą Satyry za włosy, podniósł go od ziemi i, trzymając w powietrzu, rzekł kamiennym głosem:

— Odprawileś się od Bachusa, więc ja cię wezmę na służbę. Będziesz miał bliżej do mnie strzelać. Nie targaj się robaku, bo ci łebek zgniotę słabem naciśnięciem moich paleców.

Jednocześnie rozdeptał krzyzące dzieci, a nie puszczając Satyry, wywołał z domu Teryę i również uniósł ją z sobą.

Mieszkał on niedaleko we wnętrzu ogromnej góry, na której szczycie zgromadził stopy brył do walki z bogami. Wnętrze to w znacznej mierze sam wypełniał. Było ono surowe, puste i ciemne, zapchane w szczelinach i norach niepoliczonym mnóstwem karlików, podparte u wierzchu potężną, mętnie przezroczystą kolumną, w której polyskiwały drobne iskierki, dostarczające mdłego światła całej tej przestrzeni.

Gdy Tytan wszedł z Satyrem i Teryą, karliki podały mu pęk grubych i drobnych łańcuchów. Ale on je odtrącił i rzekł:

— Łańcuchem dla niego będzie ona, którą zamknijcie w kryształowej kolumnie, ażeby ją ciągle widział, a nigdy nie odzyskał. Niech na swych polach i w winnicach pracuje dla mnie.

Rozkaz spełniono.

Satyr rozpoczął nowy okres życia w niewoli i trudach. Chociaż mógł, nie uciekał, bo go przykuwała do miejsca Terya, którą kochał, i jak gdyby w słupie obłocznym widział. Nawiedzające go w snach mary obie-

cywały mu, że ostatecznie bogowie pokonają Tytana, zgladzą jego górę i rozbiją jej kolumnę.

Więc dźwigał brzemię losu cierpliwie. W wolnych chwilach od pracy spisywał tajemnie na liściach swoje myśli i puszczał je z wiatrem po Skapolu lub też snuł z ueszc śliczne piosenki i wyuczał śpiewania ich ptaki miejscowego gaju.

Przesunął bóg czasu na swym różańcu paciorek wiele, a dola Satyra nie zmieniła swego biegu. Ale on w niej zmienił się bardzo: ogon mu uwiadł, nos ma prosty, uszy owalne, włosy miękie i w łukach na szyję spadające — jest znowu tak młodym i pięknym, jak w dniu swego wesela. Tylko Teryi ani wywalczyć na ziemi, ani wyblagać u nieba nie może.

— Więc on żyje? — spytała zdumiona słuchaczka.

— Bajka twierdzi, że żyje, ale ponieważ z koźlej przedzierzgnął się w człowieczą postać, więc dobrzy ludzie mówią, że zginął.

V.

HYMN NIEMYCH.

Więc jeszcze opowiedzieć ci inną bajeczkę? — rzekł, pijąc pocałunkami z jej ust ten czar, którego nigdy wypić nie mógł. — Dobrze, posłuchaj:

Kiedy przed poczęciem się świata wypełniały przestrzeń tylko mgły, kręczone siłą twórczą w niezliczonych i splątanych wirach, część tych obłoków powoli skropliła się i utworzyła ocean. W jego wnętrzu powstały rozmaite twory, a między nimi olbrzymi żółw, który wypłynął na powierzchnię wód i spoczął na nich. Jego wypukła pokrywa, obok rozległych płaszczyzn, równych i chropowatych, mieściła wielkie wyniosłości, przepaściste głębiny, obszerne wydrążenia i bruzdy, w które ściekała skroplona z chmur para, tworząc morza i rzeki. Skorupa ta obrosła tu i owdzie szczecinią trzcinną, krzewów i drzew, a wreszcie zarośli się istotami żywymi.

Była to ziemia.

Opasał ją obręczą, zrodzony również w łonie przedwiecznego oceanu, wąż, który usiłując zgnieść żółwia, pękł w nadmiernym wytężeniu i rozlał się naokoło ziemi szerokim, płynnym kręgiem.

Była to rzeka Styks, oddzielająca świat żywych od świata umarłych.

Po za nią spał zastygły i skrzepły ocean, okryty bezbrzeżnym płaszczem lodowym, na którym w miejscach szczęścia lub męczarni osiadły duchy, a w przybytkach napowietrznych—panujący nad nimi i ziemią bogowie. W krainie tej nie było ciepła, tylko światło, nie było woni, tylko barwy.

Język ludzki zwał tę krainę Hadesem.

Za każdym razem, kiedy promienne oko wszechświata przymknęło swoją powiekę, po stromej ścianie skał schodziły duchy ku przystani Styksu, w której oczekiwała na nie łódź Charona.

* * *

Ziemia zatrzęsa się walką ludzi, zabrzmiała okrzykami radości i jękami cierpienia. Ale wiatry zmiotły wkrótce wrzawę dzikich i żalonych głosów, po której na lekkich skrzydłach wypłynęła i nad pobojuwiskiem zawisła sowioka cisza. Wtedy drogą śmierci do przystani Styksu zszedł dłuższy niż zwykle rząd duchów. Postacie ich były ludzkie, ale powietrzne, choć nieco mętne. Każdy nioś w rękę swoje serce, niby konchę. Z niektórych sere tych wyblyskiwały różnomierne i różnobarwne ogniki, inne były wygasłe.

Duchy w milczeniu weszły do łodzi, którą Charon odepchnął od brzegu. Gęsta, smolista ciecz rzeki nie nadymała się nigdy falą, nie pokrywała zmarszczkami,

nie toczyła w swem łożysku, lecz spoczywała leniwa, nieruchoma, martwa. To też gdy po jej czarnym, błyszczącym, rdzawymi smugami spręgowanym grzbiecie przesunął się statek przewoźnika cieniów, wyorał na niej swem klinowem dnem szeroką bruzdę, która natychmiast zamknęła się za nim w gładką powierzchnię, bez żadnej blizny.

Łódź stanęła przy bramie w wysokim murze lodowców, świecących luną zorzy. Na progu jej leżał i całkiem wejście przegradzał olbrzymi, kudłaty, trójgłowy pies, Cerber, który powstał, zawył paszczami w trzy strony i nappełnił swym strasznym rykiem cały Hades. Na ten głos przybiegł Ajakos, klucznik, który powiódł za sobą duchy przez łąkę, porosłą sinemi igielkami mrozu. U jej skraju przeciwnego, w poprzek drogi, czterej tytani dźwigali na barkach lodowy, puchem śniegu wysłany tron, na którym siedział w purpurze sędzia umarłych, Minos. Na dole, pod jego stopami, stanęli dwaj uskrzydleni młodzieńcy, którzy równocześnie zlecieli z dwu przeciwnych stron. Jeden z nich piękny, w labędziej białości, był posłem nieba, drugi szpetny, kruczę czarnością okryty—posłem piekła.

Skoro duchy zatrzymały się przed tronem, Minos, wskazując berłem szronowem każdą postać, rozdzielił je na dwie grupy: w jedną zgarnął te, które niosły serca z płomykami, w drugą te, które miały niegorejące.

Wtedy do ostatnich przystąpił młodzieniec czarny, otworzył każdemu piersi, włożył w nie z dłoni serce,

odkręcił oczy źrenicami ku tyłowi, zapalił nad głową światełko, które rozwidniło wnętrze cienia i powiodł wszystkie drogą ku piekłu, gdzie wiecznie wpatrywać się będą w siebie, niczego więcej nie widząc.

Inny młodzieniec zwrócił się do drugiej rzeszy i poprowadził ją w kierunku nieba. Tuż za tronem Minosa, Leta, rzeka zapomnienia, przesuwała swój płynny kryształ bezskażnej gładkości w ramach zielonej murawy lodowej. Podczas gdy przewodnik szedł powierzchnią zwierciadła wody, duchy opadły w głąb i postępowały jej dnem. Wynurzywszy się z tej kąpieli, stanęły zmienione: nie miały już w swych postaciach mętów żadnych, lecz były tak niepokalanie przezroczyste, że niemal rozplywały się w powietrzu, a płomyki ich serc, teraz brylantowo lśniących i przejrzystych, migały w niem, jak gdyby oderwane.

Nieopodal od brzegu, w łagodnym pochyleniu, piętrzyły się szerokie schody z wstęg tęczy, wiodące do wspaniałego przybytku w kształcie otoku, którego ściany, ogromnem kołem biegnące, składały się ze zmarzłych kropelek rosy. Nad odkrytym jego wierzchem wisiało wysoko u błękitu słońce, którego strugi światła, rozlewając się po perełkach zrębu, migotały w nich niezliczoną ilością barw i blasków, sprawiając wrażenie, jak gdyby ów przybytek gorzał.

Duchy weszły po schodach aż do jego podwojów, w których ukazał się, odziany szatą z olśniewających gwiazd dzierganą, uroczymi pięknymi i wspaniałymi Apollo.

Wziął on im z ręki serca, położył je w złocistą czarę, odłamawszy przedtem od nich ogniki, które w jego palcach natychmiast wydłużyły się w cieniutkie promienie — i rzucił ten pęk rzesz świetlanych w oko słońca, gdzie one utkwily i wzmogły jasność przestrzeni. Ruchem migowym duchy skupily się i utworzyły białawy obłoczek, który wleciał do góry i utonął w szlaku mlecznym na błękitcie nieba.

Apollo wniósł czarę do przybytku, w którym około sierpa księżycowego, opartego na czterech skrzyżowanych strzałach piorunowych i tworzącego tron, stały w dwu łukach bocznych muzy. Usiadłszy, zaczął wyjmować z naczynia konchy sercowe i przykładać je do ucha, wsłuchując się w ich tajemnicze szumy odgłosów życia. Twarz jego ustawicznie zmieniała swój wyraz, odbijając naprzemiany to radość wesołą, to boleść głęboką, to zachwyty porywający. Nareszcie rzekł z pogodnym wzruszeniem:

— Dziś duchy przyniosły niebu w swych sercach wielodźwięczny chór uczuć, stłumionych na ziemi. Rozbierzcie te głosy i przelejcie je w natchnieniach ludziom żyjącym.

Przy jego słowach źrenica słońca, wpatrująca się w ten obraz ze stropu nieba, jak gdyby zabłysła mocniej i z po za lekkiej, ognistej zasłony, ukazało się zaciekawione i majestatyczne oblicze Zeusa.

Apollo wybrał i podał najbliższej muzie kilka konch, które zaledwie dotknęły jej dłoni, wydały dziwnie

rzewny, w westchnienie przeciągnięty, cichy ton. Po przerwie chwilowej odezwały się znowu głosem, który był jak gdyby mową i jak gdyby pieśnią:

„Za pracę naszą dawano nam chleb gorzki i skąpy, który oblewaliśmy łzami w milczeniu ust głodnych, ażeby go nie postradać. Umarliśmy z niedoli, ukryw-
szy jej tajemnicę w sercach naszych.“

Konchy umilkły. Apollo wydobyl inne i wręczył drugiej muzie.

I te, na podobieństwo poprzednich, brzmiały:

„W duszach naszych przebywały widma czarowne i świeciły jutrzenki myśli, które ploszył lub gasił upiór nocy. Skonaliśmy, nie otworzywszy serc naszych i nie rzuciwszy na świat ich jasności.“

Kiedy śpiewać przestały, Apollo wyjął z czary innych konch parę i oddał trzeciej muzie. Szeptaly one:

„Serce nasze były podobne do siebie, jako para oczu zawsze jednowidzących i zawsze oddzielonych. Natura spajała je ciągle miłością, a świat rozcinał gwałtem. Odebrał im mowę, ażeby nie skarżyły się na swą krzywdę. Zamknął dwa wulkany i kazał im służyć za swe piece do ogrzewania jego przesądów. Nigdy też lawa uczuć nie wypłynęła z nich szerokiem ujściem, tylko dymiała się wązkiemi szczelinami.“

Ucichły. Apollo powierzył czwartej muzie garść konch innych, które przemówiły:

„Kochaliśmy kawałek ziemi, na której stały kolebki nasze i w której spoczywały trumny przodków naszych;

kochaliśmy szacowną przedzę ich życia, pamiątki wysiłków zwycięskich i prac znojnych; kochaliśmy przyrodzone drgnienia warg naszych i ukryliśmy to kochanie w grobach.

Głos umilkł. Apollo podał kilka konch muzie piątej.

„Miłość nasza — żaliły się one — chciała ogarnąć ludzkość całą, spoić ją węzłami braterstwa i obdarzyć równomierną życzliwością. Musiała wszakże zginąć w zamknięciu serc marzących, gdzie ją z wyciętym językiem uwięziła nienawiść w rodzinie człowieczej.“

Skoro Apollo rozdał muzom z czary resztę konch, które również wylały z siebie w słowach utajone za życia tony, powstał i wstrząsającym głosem zawołał:

— Mądry i sprawiedliwy duchu, który od wieków i na wieki przenikasz ciało wszechświata, wysłuchaj hymnu oniemiałych.

Oblicze w źrenicy słońca wychyliło się jeszcze wyraźniej, a jednocześnie ze wszystkich konch sercowych wzbił się pieśnią uroczystą a zarazem łagodny chór, w którym już niemożna było rozpoznać słów, tylko pojedyncze a zestrojone w precudną harmonię dźwięki. Kiedy omdlały ostatnie jego echa, Apollo rzekł:

— Muzy moje, powróćcie ziemi, co z jej łona wyszło i czego stracić nie powinna.

Po Hadesie rozległo się znowu wycie Cerbera.

* * *

Cała Grecya drżała w gorączce, oczekując uroczystego dnia, w którym na cześć Apollona odbyć się

miało wielkie święto, połączone z igrzyskami i turniejem poetów. Już od paru tygodni porządkowano i zdobiono amfiteatr przed świątynią tego boga w Akeyonie. Ze wszech stron kraju ściągaly tam liczne gromady ciekawych, pobożnych lub natchnionych—jedni z weselem, drudzy z nadzieją rozrywki, a inni z niepokojem rojeń o sławie. I nie dziwnem było wzruszenie powszechne, bo gody te odbywały się tylko raz na trzy lata.

Wybierało się na nie wielu poetów, a między nimi także Oligos, który zwykł twierdzić, że wszystkie muzy są jego natrętnemi kochankami i który znudzone próżniactwem i rozpustą bogaczki ateńskie lechtał do uśmiechu lub rozczulał do łez swymi wierszami. Zachęcony ich namową, przygotowywał on na popis długą pieśń o miłostkach Herkulesa, które dały początek znakomitym rodóm.

W przeddzień wyjazdu młody jego niewolnik od rana czyścił obfity zapas szat i obuwia. I on marzył o świętym obchodzie, na który miał towarzyszyć panu, i jego duszę przenikały jakieś nieokreślone dreszcze, a tak nim owładnęły, że wypuścił z rąk sandał, którego rzemyki pociągał farbą karminową i utonął w bezwiednem zamyśleniu.

Wieczór zaczął osypywać ziemię zmierzchem, na niebie zaiskrzyły się gwiazdy, jak srebrne gwoździe na tarczy Zeusa — a niewolnik wciąż dumał. Nagle zdało mu się w półśnie, że usłyszał szum spadających

z góry ku niemu postaci lotnych, że spostrzegł grono pięknych dziewic, które stanęły około niego. Trzymały one w rękach jakieś konchy kroju serc, z których zabrzmiał zgodnymi głosami chór upajającego śpiewu. Bezprzytomny niewolnik oczarowanem uchem chwycił tę niebiańską melodyę, która duszę jego pieściła nieznaną dotąd błogością. Wreszcie zamilkła i widzenie zniknęło. Zerwał się, chciał biedz, puścił wzrok daleko, ścigając mary; nie dojrawszy ich, wyciągnął ręce ku niebu i tak stęzał, bo znowu zdało mu się, że go moc czarodziejska zamieniła w lirę i wygrywa na niej pieśń niedawno słyszaną.

— Dawaj sandały! — krzyknął pan z progu, i niewolnik się otrzeźwił.

Ale już tej nocy nie usnął. Usłużwszy panu w sypialni, wsunął się, jak cień, do jego pracowni, ukradł kawałek papyrusu i siadłszy przy kagańku w swej izdebce pisał do świtu...

* * *

Wielotysięczny tłum, złożywszy ofiary Apollonowi w świątyni, pośpieszył na miejsce igrzysk. Po każdej gonitwie lub zapasach rzucał zwycięzcom garście okłasków. Z kolei rozpoczął się turniej poetów. Wystąpiło czterech: jeden czytał tragedję, drugi — komedję, trzeci — treny, oplakujące poległych w wojnie narodowej, czwarty, Oligos — opowieść o miłostkach Herkulesa. Tłum obdarzył wszystkich głośnie uznaniem,

ale żadnego uwielbieniem. Ażeby zaś choć w części nagrodzić im zawód, dano każdemu po gałązce oliwnej z gaju świętego. Odznaczenie to wywołało śmiechy i szyderstwa. Oligos, chcąc przycinkom odłamać ostrze zuchwałym żartem, stanął na podwyższeniu i zawołał:

— Nasze utwory wam się nie podobały; ale był tu jakiś lekliwy poeta, który swój plód poronił, a ja go znalazłem. Ten podrzutek zapewne będzie godnym waszej łaski. Słuchajcie!

Zgromadzeni, którzy już z miejsc powstali, usiedli rozweseleni. On rozwinął zwój i czytał.

Z początku oblatywały tłum głośnie uwagi, następnie szepty, wreszcie ułożyła się zupełna cisza, cisza tłumionych oddechów.

I głos Oligosa, naprzód drwiący, zwolna poważniał, a wreszcie stał się uroczystym.

Bezimienny poeta śpiewał hymn niemych. W wyrazach, które huczały jak gromy, oślepiały jak błyskawice lub spadały jak ciepły deszczyk majowy na spieczoną ziemię, opisywał on te uczucia i myśli, które w milionach serc zamierają, nigdy niewypowiedziane.

„Gdyby zebrać razem te zmarnowane krople — mówił w końcu — powstałyby morza, gdyby stopić te iskry, powstałyby słońca, gdyby związać te ruchy, powstałyby potęgi, gdyby skupić te radości, powstałyby szczęścia, a tymczasem człowiek stoi wobec swych losów łaknący, ciemny, bezsilny i nieszczęśliwy.“

Zerwała się burza okrzyków. Z tysięcy piersi

buchał ryk zachwytu, z którego ciągle wydierało się pytanie: kto jest twórcą tego hymnu?

Nikt nie umiał objaśnić i nikt się nie przyznał.

Wtedy tłum po długiej wrzawie postanowił, że uwije wieniec wawrzynowy i spali go na ołtarzu Apollona.

Ruszyła masa ku świątyni, ale u wyjścia zatrzymała się zwarta — zaparło jej bowiem drogę martwe ciało jakiegoś człowieka.

Wkrótce Oligos rozpoznał swego niewolnika, który zmarł nagle.

Kiedy w świątyni Apollona płonął laur nieodszukanego poety, Charon wioził w swej łodzi przez Styks ducha z sercem gorejącem.

VI.

STRACHY PENTELIKONU.

Tuląc ją do swych piersi w mroku wieczornym i całując w okrażone uśmiechem usta, rzekł:

— Teraz ci opowiem inną bajkę.

Pewnego dnia przybiegł do Aten młody pasterz z przerażającą wieścią. Pędząc zadyszany przez ulice, zwoływał przechodniów, którzy spieszyli za nim, strwożeni i ciekawi. Na rynku stanął, otoczony gromadą ludzi. Osypano go zewsząd pytaniami, ale on przez chwilę tylko dyszał i wskazywał na górę. Wreszcie, chwyciwszy kilkakrotnie ustami więcej powietrza, wyrzucił z nich:

— Ratujeie!

— Kogo? — jednogłośnie krzyknęli obecni.

— Ktoś tam wzywa pomocy — wybąkał chłopiec.

Badano go uporczywie, a on odpowiadał w urywanych i zagadkowych słowach. Nakoniec, odpocząwszy i opanowawszy wzruszenie, przemówił:

— Pasłem owce na stokach Pentelikonu. Gdy stado zbliżyło się do miejsca, w którym otwarto nową kopalnię, usiadłem przy świeżo dobytej bryle marmuru

i zacząłem na jej gładziej ścianie tym oto nożykiem rysować wizerunek koziołka. Nagle zdało mi się, że z rozwartego boku góry wyszło przeciągłe i żałosne westchnienie. Spojrzałem wokoło, ale prócz owiec, skubiących trawę, żadnej żywej istoty nie dostrzegłem. Tylko wózem po gałęziach krzewów prześlizgnął się lekki wietrzyk, który jak gdyby roznosił im echo tej skargi. Wkrótce powróciła cisza, a ja zacząłem dalej wydłubywać rysunek. Zaledwie wszakże zrobiłem kilka nacięć, znowu, ale już silniej, rozpląnął się ten sam jęk, a równocześnie w mojej bryle coś drgnęło, niby kurczę w jajku. Zerwałem się spłoszony; wtedy cały Pentelikon zabrzmiał wstrząsającym i bolesnym głosem, w którym uszy moje zdołały uchwycić jeden tylko wyraz: Alkamenesie!

— Alkamenes? — powtórzyli zdumieni słuchacze. Co to znaczy?

— Odskoczyłem kilka kroków, głos ów uciekł, ale gdy bryła, na której wycinałem koziołka, stęknęła mojem imieniem, uciekłem i przybiegłem tutaj. Obywatele, tam coś straszy lub ktoś ginie!

Jedni kiwali głowami, drudzy milczeli w głębokiem zamysleniu, inni zdradzali twarzami strach dojmujący, inni podawali coraz nowe rady, inni drwili szczerze lub sztucznie.

— Zapewnie robotnik wpadł wczoraj do głębokiego dołu kopalni i wydobyć się nie może.

— Tak, dziś święto, nie pracują, więc nikt go nie słyszy.

— Ale czemuż woła cała góra?

— Atena wzywa dla nieszczęśliwego naszej pomocy.

— Niech go sama wydobędzie.

— Nie bluźnij, bo to niewątpliwie jakiś bóg obrażony domaga się ofiary.

— Darujemy mu ciebie i uspokoi się.

— Co za jeden ów Alkamenes?

Nie umiano objaśnić.

Tymczasem przybyli zwabieni zgłębkiem dostojnicy miasta. Wysłuchawszy opowieści, podzielili się w zdaniach. Archontowie utrzymywali, że chłopiec prawdopodobnie zasnął, a wzięwszy przywidzenie za rzeczywistość, bredzi; kapłani znowu, poparci przez starych areopagitów, twierdzili, że któryś z bogów gniewa się i że należy go koniecznie przebłagać.

Uradzono nareszcie wysłać z pastuszkami trzech wiarogodnych obywateli, którzy sprawdzą jego słowa na miejscu.

Poselstwo wyruszyło natychmiast, a za niem pociągnął liczny orszak ciekawych. Po drodze rozprawiano dalej o dziwnem zdarzeniu, które szybko rosło, przechodząc z ust do ust, pomnażane coraz nowymi dodatkami. Znaleźli się świadkowie, którzy kiedyś również słyszeli westchnienia Pentelikonu, ale uważali je za granie wiatru na zrębach skał. Z niepokojem serc zbliżała się rzesza do wskazanego miejsca.

Słońce stoczyło już swój krąg ognisty nad brzeg nieba, powietrze kołysało się lekkimi falami ciepłych wonnych podmuchów, trącając nieznacznie liście drzew. U podnóża góry pasły się rozproszone owce, które spostrzegłszy tłum ludzi, podniosły zdziwione głowy i zaczęły skupiać się w większe gromadki.

Rzesza stanęła i puściła słuch na zwiady. Oprócz wszakże lekkich szmerów nic nie mąciło ciszy.

Przewodnik zaprowadził wysłańców do bryły marmuru, na której rzeczywiście ujrzeli piękny rysunek koziołka. Ale i kamień milczał.

Rozwiązały się języki przeciw chłopcu: łajano go i chłostano kpinami. Poważniejsi radzili zajrzeć do otworu kopalni; lecz i stąd nie wyszedł żaden głos. Jednych ogarał gniew, drugich — śmiech, innych — wstyd. Postanowiono nie wracać do miasta razem, aby uniknąć szyderstwa.

Wkrótce tłum się rozsypał, a pod górą został sam zakłopotany pasterz.

Naturalnie trzech wysłani obywatele nie zwołali zgromadzenia ludu, nie chcieli nawet odpowiadać pytającym ich po drodze o wynik śledztwa; uwiadomili tylko archontów, że chłopcu jakiś duch wyrządził psotę.

Ale zaledwie wiadomość ta, podszyta śmiechem, rozbiegła się po Atenach i uspokoiła umysły, gruchnęła inna — że pasterz przypędził swe stado, wystraszone nowymi jękami Pentelikonu.

Sprowadzono go do Areopagu, który zebrał się na

nadzwyczajną naradę, i poddano szczegółowemu badaniu.

— Skoro znikli mi z widoku ostatni uczestnicy naszej wyprawy — mówił on — usiadłem przy bryle marmuru i zacząłem dalej rzeźbić mojego koziołka. Nagle, jak przedtem, kamień drgnął żywo, a z góry wypłynął ten sam żalony głos. Wyteżywszy uwagę, wyraźnie usłyszałem kilkakroć powtórzone słowa:

— „Alkamenesie, wyswobodź nas!“

Nie spałem, uszy mnie nie omyliły, klnę się na wszystkich bogów, a jeśli kłamie, niech sprawią, ażeby mnie nienawidziło wszystko, co kiedykolwiek ukochem.

Sędziowie zapadli w nastrój poważny. Wiara młodzieńca udzieliła się im widocznie; czuli, że jakaś tajemnicza prawda tkwi w jego opowiadaniu.

— I twoje imię brzmiało?

— Zdaje mi się, ale tego mniej jestem pewny, niż imienia „Alkamenes.“

Nikt z obecnych pod tą nazwą żadnego obywatela nie znał. Po krótkiej tedy naradzie postanowiono go szukać.

Wieczór ten przeszedł w Atenach wśród wielkiego niepokoju. Snuto najrozmaitsze domysły i wskazywano najdziwniejsze przyczyny, a trwoga przez całą noc odganiała sen z powiek bojaźliwym. Na piersi miasta padła dręcząca zmora.

Nareszcie zaświtał ranek, a z nim ukojenie dla serc: Alkamenesa odnaleziono.

Pierwsi roznosiciele nowiny zmyśleniami objaśniali pytających, kim był ów tajemniczy człowiek, którego imieniem Pentelikon jęczał i straszył. Nikt go bowiem dobrze nie znał, ale zapewniano, że mu złowrogi płomyk w oczach migocze. Z tem większą skwapliwością płynął przez ulice miasta ku Areopagowi tłum ludu, łaknący ujrzeć Alkamenesa i usłyszeć od sądu wynik śledztwa. Ciżba zapchała plac, niepokojąc się czekaniem. Wreszcie przeleciał po ustach gorączkowy szmer: idzie!

Szedł śpiesznie pośród dwóch dozorców miejskich przecinając stłoczoną masę ludzi, którzy mu uparcie drogę zagrządzali. Ściągnęła, śniada jego twarz drgała tłumionem wzruszeniem, z pod zsuniętych brwi przebłyskiwały spojrzenia niecierpliwego gniewu i dumy, na wargach zwieszał się co chwila szyderyczy uśmiech, a ręka z godnością odgarniała natrętów. Szybko przeslizgnąwszy się smukłą postacią przez szczeliny gęstniejącej około niego gromady, wbiegł do Areopagu.

Sąd oczekiwał go w pełnem zgromadzeniu i natychmiast przystąpił do badania.

— Obecny tu pasterz — rzekł przewodniczący — słyszał kilkakrotnie imię twoje, brzmiące z Pentelikonu. Ponieważ musi to być głos boski, żądający jakiegoś zadośćuczynienia, więc wezwaliśmy cię w tej sprawie. Skąd jesteś?

— Urodziłem się w Atenach.

— Dlaczegoż nikt cię tu nie zna?

— Osierocony wcześniej, wychowałem się w Larissie

u stryja, skąd po jego śmierci przybyłem tu przed tygodniem.

— Czem się trudnisz?

— Dotąd niczem.

— Z czego żyjesz?

— Za ładowanie statków dostaję dziennie w porcie pół obola.

— Cóż robiłeś w Larissie?

— Wycinałem na pniach drzew i skałach postacie, które za mną chodziły i oplakiwały Fidyasza.

— Znasz Pentelikon?

— Jeszcze go z blizka nie widziałem.

— Bogowie kochają tę górę o łonie marmurowem; jeżeli więc z niej skarżą się na ciebie, musiałeś ich obrazić.

— Ja ich tylko stwarzałem.

— Błuźnisz.

— Obejrzcie pnie drzew w Larissie.

— Błuźnisz; prawdopodobnie tam wyrządziłeś im jakąś zniewagę i uciekłeś przed zemstą. Dostrzegłszy cię tu, domagają się ofiary.

Badanie skończono. Po długiej naradzie sąd wydał wyrok, skazujący Alkamenesa na przebywanie u otwartego wnętrza Pentelikonu, dopóki bogowie wyraźnie swej woli co do winowajcy nie objawią lub go nie zgładzą.

Lud przyjął to orzeczenie z zapalem.

Alkamenes wrócił do domku, w którym przebywał

zabrał woreczek podróżny i udał się na miejsce kary.

Wyszedłszy za miasto, ujrzał niedaleko wysoką górę, do której droga wiała się krętą taśmą wśród krzewów i drzew, przez grzbiety łagodnych wyżyn i długie wygięcia dolin. Dzień pogasił już jaskrawsze promienie słońca i z jego wielką złotawą tarczą zsuwał się ku zachodowi, rozrzucając blaski po wierzchołkach i krawędziach skał, kiedy Alkamenes stanął u podnóża Pentelikonu.

Legenda mówi, że kiedyś w tem miejscu padł obarczony przez bogów garbem obrzym, którego ciało ziemia wessała, pozostawiwszy tylko garb, stanowiący marmurową górę. Może więc duch tego nieszczęśliwego męczennika jęczy żałośnie? Alkamenesowi nawet zdało się przez chwilę, że słyszy jakieś głębokie westchnienia, ale wkrótce sprawdził, że go ogarnia złudzenie. Swawolne wietrzyki wieczoru zlatywały do niego z wyżyn i wrzucały mu do uszu tajemnicze szmery, których on nie rozumiał i ująć w nich słuchem swego imienia nie zdołał. Nareszcie słońce owinąłszy się w sinawą chmurę, spoczęło na ognistym łożu, a noc zasunęła nad niem swą ciemną zasłonę i dała naturze znak milczenia.

Alkamenes, usiadłszy zgnębiony, myślał o dziwnym losie, który go tu zagnał, o całym życiu swoim biednym, tułaczem, zbijającym ciągle odradzające się pragnienia, których ani zadowolili, ani zdławić nie mógł.

— Cóż ja bogom zawiniłem — mówił do siebie — że w piersi mojej rozdmuchują żar, który mnie przepala? Po co każą orłom pełzać, a żółwiom przyprawiają skrzydła? Czy wszechmoc ich potrzebuje się nasycać tak okrutną igraszką? Będę leżącym na dnie morza mięczakiem, będę jadowitą żmiją, pracującym wołem, będę najpodlejszym człowiekiem, tylko niech mi z duszy wydrą nieukozone chęci, niepokonane marzenia i drzemiące w niej siły, które mnie porywają w krainę czynów, wysoko wzniesioną nad poziomem mojej niedoli. Nędza nie chce mnie pożreć odrazu, tylko powoli objada. Pracą w mizernym najmie zarabiam na przedłużenie życia, które się pastwi nade mną. I czego ja jeszcze oczekuję? Czy te drzewa otrzęsą mi litościwie ze swych gałęzi na pokarm kilka oliwek, a ta góra odłamie kawał marmuru, ażebym weń wcielił jedną z tych mar, które licznym rojem koło mojej głowy krążą? Oderwany i gnany wichrem liść, daremnie wtykam się w ziemię, ażeby w nią wrosnąć — schnę i pędzę dalej. A może mnie tylko nawiedzają widma myśli chorej, może ja nie posiadam tej mocy, która moją wyobraźnię dreszczami geniuszu wstrząsa? Ach, odstąpcie mnie dręczące natchnienia, których ciałami przyoblec nie mogę, stocz się po stromej skale twardy głaz i roztrzaskaj tę wrzącą czaszkę.

Oparł na dłoniach twarz bólami porytą.

— Głupcy — rzekł półgłosem — Pentelikon mnie woła! Czemuż milezy, gdy do niego przyszedłem?

W tej chwili nastąpiło zjawisko dziwne: góra drgnęła kilkakrotnie i wydała głębokie westchnienie. Przez otwarty jej bok, którym wydobywano marmur, zaczęły nieprzerwanym szeregiem wysuwać się najrozmaitsze śnieżno białe postacie. Naprzód wszelkich gatunków zwierzęta, małe i wielkie, gładkie i wełniste, łagodne i drapieżne, które otoczywszy kręgiem Alkamenesa, zabrzmiały:

— Bądź pozdrowiony stwórcy i zbawco, który wskrzesisz nas i wyprowadzisz z grobu, gdzie od wieków spoczywamy!

Tym samym porządkiem powróciły zwolna do wnętrza góry.

Znowu ona drgnęła i znowu z jej otworu wyszły długim łańcuchem postacie ludzkie: mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy, nadzy i odziani, w nieprzeliczonych odmianach piękna i brzydoty, wzrostu i budowy. Opasały one również Alkamenesa i zawołały chórem:

— Bądź pozdrowiony stwórcy i zbawco, który wskrzesisz nas i wyprowadzisz z grobu, gdzie od wieków spoczywamy!

Pierścień widm rozłamał się i wyprostowaną kolumną wsunął w grotę góry.

Jeszcze raz zadrgała i wystąpił z niej orszak olbrzymów, bogów i bogiń, uderzających nadziemską siłą i czarujących wdziękami. Obstąpiwszy Alkamenesa, zagrzmiełi:

— Bądź pozdrowiony stwórcy i zbawco, który

wskrzesisz nas i wyprowadzisz z grobu, gdzie od wieków spoczywamy!

Kiedy orszak ten powracał do góry, która teraz, jak i poprzednio, wydawała się wydrążoną, pustą wewnątrz, popękana z wierzchu i przeświecającą przez szpary łupiną, ostatnia z postaci zatrzymała dłużej na Alkamenesie smutny swój wzrok i zniknęła.

Czy widzenie to przesunęło się przed nim we śnie, czy na jawie, nie wiedział; musiało ono jednak trwać długo, bo gdy się skończyło, na bladą i bezprzytomną twarz Alkamenesa padły pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Stał on nieruchomy, z oczami utkwionymi w otwartą ścianę Pentelikonu i piersią wzruszeniem nabrzmiałą, sprzęgając rozpierzchłe myśli i usiłując zapanować nad niemi. Nareszcie chwiejnym krokiem przystąpił do bryły marmuru, przy której odwróciła się ku niemu smutna postać, coś przypominał sobie, czy szukał śladów. Nie było żadnych, ale jak gdyby uczuł w kamieniu słabe tętno życia.

— Ona tu jest — szepnął, a wyjąwszy z woreczka dłuto i młotek, gorączkowo kuć zaczął.

Zdawało mu się, że bryła ta nie jest kamieniem, ale zwojem osłon, które okrywają postać boskiej niewiasty, w marzeniu przezeń widzianą i z których on ją rozwija. Osłony te pod jego dłutem opadały szybko; ale w miarę jak, oderwawszy zwierchnie i grubsze,

zbliżał się do spodnich cieńszych, ręce jego pracowały coraz delikatniej i ostrożniej.

Ponieważ roboty w kopalni zawieszono i pod groźbą gniewu bogów zakazano komukolwiek chodzić do góry, przy której spełniała się dla nich ofiara, więc nikt mu nie przeszkadzał i źródło natchnień nie mącił.

Skoło noc owionęła ziemię mrokiem, omdlały Alkamenes złożył głowę na rzeźbionym marmurze i zasnął. Wtedy objawiła mu się znowu owa cudowna postać, ale już sama. Stała tuż przy nim i dźwiękiem rzewnej pieśni przemówiła:

— Jestem Psyche, dusza dusz. Umiłował mnie Eros, ale rozkochaną opuścił, gdy spojrzałam w jego twarz, którą w miłości naszej niewidzialną mieć pragnął. Tęsknię do niego w nadziei, że wróci.

Rozwiała się w powietrzu.

Jednocześnie sen odjął swe dłonie z powiek Alkamenesa, który obudził się, przez chwilę pogonił myślą uroczne widmo i otrzeźwiony z zapalem przystąpił do pracy.

Trwała ona dni wiele, a każdy coraz szczegółowiej ukazywał kształty boskiej niewiasty, spowitej w płatki marmurowe. Nareszcie pozostała już tylko cieniutka powłoczka, niby przejrzysta mgła, pod którą Alkamenes widział wyraźnie całą postać i czuł ruchy jej życia. Lekkiemi, jak pierwsze pocałunki miłości, muśnięciami dłuta zgarnął on ten obłoczek, a skoro zsunął ostatni jego rąbek, stała przed artystą ośnie-

wajaco biała, niepokalanie czysta, odurzająco piękna, Psyche. Wdzięczną główkę, z włosami gładko przyczesanymi i zwiniętymi w splot swobodny, pochyliła nieco ku piersiom; spuszczone oczy otaczały jej nagość szatą dziewiczego wstydu, a z drobnych ust łagodny smutek wypijał ostatnie krople uśmiechu. Jedną stopkę podniosła nieco od ziemi, jak gdyby chciała wlecieć na skrzydełkach motyli, które jej z ramion wystąpiły, a w ręczce trzymała kwiatek, pamiątkę miłości.

Alkamenes zatonął w jej uroku, a Pentelikon, z którego ją wywiódł, zabrzmiał potężnym głosem zachwytu.

Pomimo zakazu władz, młody pasterz, który przegnał owce na sąsiednią górę, posyłał często swe bystre oczy do samotnego skażaćca. Widział on go zdala pochylonego nad kamieniem, ale niczego więcej rozpoznać nie mógł. W dniu wszakże narodzin Psyche przybiegł wystraszony do Aten i opowiedział zgromadzeniu, które go natychmiast obległo, że wyszła z Pentelikonu i stała przed Alkamenesem jakaś przepiękna bogini. Kapłani osądzili, że zapewne ona oznajmiła pokutnikowi wolę nieba i że należy go już sprowadzić.

Wszyscy mieszkańcy, pod przewodnictwem dostojników, wpłynęli długim i szerokim potokiem w wąż, wiodący do Pentelikonu. Przybywszy pod górę, zatrzymali się w zdumieniu, jak gdyby na ich oczy padł czar cudu: na posłaniu ze śnieżno białych okrzęsów marmuru, skąpana w blaskach słońca, ogląda-

jącego ją szeroko rozwartą źrenicą, stała Psyche, a przed nią klęczał Alkameenes.

Z wielką uroczystością przeniesiono posąg do Aten i umieszczono go na Akropolu.

Nazajutrz stróż świątyni upewniał, że w nocy sły-
szał przez ścianę jakieś czułe szepty, co kapłani wy-
jaśnili tem, że prawdopodobnie Eros odwiedził i wy-
pieścił swą oblubienicę. Rzeczywiście, z jej ust jak
gdyby ulotnił się smutek.

Odtąd nie odzywały się już strachy w Pentelikonie.
Alkameenes przebywał przy nim często i wyprowadzał
zeń do Aten coraz nowe postacie, ale zanim każdą wy-
dobył z osłon marmurowych, szedł na modlitwę do
Psychy, przez którą objawił się jego geniusz i która
udzielała mu natchnień.

VII.

D A F N E.

W klejnocie ziemi, w ukochanej Grecyi, widział Apollo od pewnego czasu codziem wspaniałe dzieła, mądre myśli, dobre czyny i ład wśród ludzi, więc chciał być dla nich łaskawym. Skoro tylko jutrzienka go zbudziła, kazał wiatrom pospędzać z nieba wszystkie chmury i zamknąć je w grotach pod widnokretem, ażeby nawet na krawędzie sklepienia się nie wysuwały. Kiedy już taki spokój otulił naturę, że słychać było szmery płatków w otwierających się pąkach, kiedy najłżejszy podmuch nie odrywał woni od koron kwiecia, Apollo odsłonił z mroków tarczę słońca, ujął ją w rękę, stanął w rydwanie, dał rumakom z płomienistemi grzywami znak do biegu i wyjechał na czyste, błękitne niebo. Chórem wdzięczności i zachwytu powitały go na dole wszystkie żywe twory, a on, pędząc szlakiem wschodu coraz wyżej, płosząc gwiazdy i ciskając iskry w krople rosy porannej, rozglądał się po świecie z wysoka, wspaniałały, dumny i radością promienny.

Już dowiół słońce prawie do szczytu kopuły nieba, gdy nagle pohamował nieco rumaki i utkwiał zdumiony wzrok na ziemi, w ustronnej kotlinie nadmorskiego gaju. Pod rozłożystem i nisko swe gałęzie zwieszającym drzewem, wśród trzciny mięką trawą podesełanej, nieopodal szumiącej kaskady strumienia, leżała czarowna nymfa, otoczona rojem motylów. Jedne, siedząc na łądyżkach, przypatrywały się jej figlarnie; inne krążyły nad nią, inne, niby kwiaty niebieskie, żółte, czerwone, białe, wpinały się w czarne jej włosy. Ona, rozbawiona niemi, co chwila przechylała swą głowę ku wciętemu w brzeg potoku zwierciadłu wody, ażeby zobaczyć, jaka barwa motyli skrzydeł wdzięczniej ją zdobi. Pomimo że oswoiła się ze swą pięknnością, olśniona nią, znowu uśmiechała się do odbicia jej w wodnym kryształ. Podziwiała sama w sobie i białe czoło myśli pełne, i kručze piórka brwi u jego spodu przypięte, i oczy gorącym uczuciem migotliwe, i cudowny nosek, ukrytą namiętnością ruchomy, i półotwarte usta, niewyczerpaną rozkosz pocałunków obiecujące.

Apollo wpatrywał się w nią długo, a twarz jego przenikało coraz silniejsze uwielbienie. Nareszcie zatrzymał rydwan, złożył na nim słońce, a sam lotem strzały spadł na ziemię.

Nymfa opędzała się dwu natrętnym motyloom, które chciały jej usiąść na piersiach, gdy stanął przed nią. Spłoszone zalotniki pierzeły i, przyczepiwszy się do liści drzewa, patrzyły ze zdumieniem i zazdrością na

pięknego boga; ona zaś wylekła jego nagłem pojawieniem się, wskoczyła szybkim rzutem w kaskadę i okryła się prawie po ramiona spadającym płaszczem wody. Niepokój wyglądał przez rozszerzone źrenice jej oczu, koral ust przybladł, a drżące ręce usiłowały pochwycić białe puchy spienionych fal i naciągnąć je wyżej na obnażone ciało.

— Kto jesteś? — spytał Apollo, postąpiwszy na krawędź potoku.

— Dafne — odrzekła słabym, ale dźwięcznym tonem.

— Czemu nie widziałem cię dotąd?

— Zeus stworzył mnie niedawno i kazał pomalować owady świeżemi barwami.

— Dlaczego kryjesz swą pięknność? Czy ją oszpeca jaka skaza?

— Nie!

— Więc porzuć tę wodną szatę.

— Kiedy mnie wstyd w nią oblókł.

— Ja ją zdejmę.

To rzekłszy, krzyknął w las; echo pochwyciło jego głos i poniosło daleko, a wkrótce zatamowany u źródła strumień uciął swą srebrną taśmę, ostatnie fale kaskady opadły i odsłoniły nymfę zupełnie. Odurzony czarem jej wdzięków Apollo rzucił się ku niej. Ona, uprzedziwszy jego ruch, wbiegła w gęstwinę. Niby jaskółka w zwinnych zwrotach, przemykała się między drzewami, a on, jak orzeł, dościgał ją coraz bliżej. Nareszcie ujął. Ale w chwili, kiedy ją dotknął, ona,

wydawszy głębokie westchnienie, zaczęła nagle przestaczać się w krzew i pokrywać liśćmi. Zamiast jej ręki, Apollo trzymał gałąź, w której biło słabe tętno. Smutny i wzruszony uszczknął jedną z odrośli, które powstały z jej włosów, opasał nią swe czoło, wrócił na niebo i powiózł słońce dalej. Odtąd krzew, w który zamieniła się nymfa, nazwano jej imieniem: wawrzynem ¹⁾.

* * *

Los Apollona przeszedł w dziedzictwie na jego potomków, których długi szereg wymienia i długie dzieje zapisuje Klio.

Był między nimi jeden, przez ojca szczególnie obdarowany. Niosąc przed ludźmi pochodnię swego geniuszu, dojrzał wśród nich uroczą dziewczę, którą natura dla niego wypieściła i którą on pokochał. Kiedy wszakże sięgnął po nią, zamieniła mu się w wawrzyn i złożyła na jego głowie świeży dotąd wieniec nieśmiertelnej chwały, a w jego sercu uczucie głębokiej miłości; bo chociaż zniknęła, natchniony tem uczuciem, wpatrzony pamięcią w jej świetlaną postać, która wszystkim jego myślom nadawała taki blask, jak słońce falom morza, przeszedł za nią przez piekło, czyściec i niebo, opowiedziawszy ludziom tę wędrówkę

¹⁾ „Dafne” znaczy po grecku: wawrzyn, laur.

wstrząsającym językiem, którego oni dotychczas w podziwem słuchają.

Był drugi, który pobiegł za uciekającą przed nim czarodziejką, ale kiedy już miał ją pochwycić w swoje objęcia, uściśnął laur. Odtąd bowiem śpiewał tylko o niej, stał się słowikiem poezji, wydobywszy ze swej piersi najrzewniejsze dźwięki miłosnej tęsknoty.

Był trzeci, który daremnie gonił za cudowną rusałką i zamiast niej zdobył wawrzyn. Widział bowiem i malował twarz jej we wszystkich twarzach niewieścich, ukryła się ona w jego pędzlu i farbach, zatarła w jego wyobraźni inne oblicza, przedziergała mu się kolejno w postaci bogiń i ziemianek, świętych i grzesznych, szczęśliwych i cierpiących, a zawsze nadawała jego geniuszowi zdumiewającą siłę.

Był czwarty, który nigdy nie połączył się ze swą ukochaną, ale umysł jego spotęźniał w odległej i radosnej rozmowie. Z bólów swego serca odgadł tajemnice życia, wydobył z nich namiętne barwy i upajające wonie uczuć, podał światu czarę prawd, roztopionych we łzach, jak perły w winie. To też kochankamiściciela uwieńczyły mądrość z miłością, filozofia z poezją.

Był inny, któremu raz objawiła się piękna kobieta i rzuciwszy na jego głowę splot liści laurowych, zniknęła. Uroczoney, zapadł w głębokie marzenie, z którego wydobywał taką muzykę, że słysząc ją, najśpiwniejsze ptaki milkły zawstydzone, a drzewa nie śmiały

powtarzać jej w odgłosach, ażeby niemi nie popsuć boskiej harmonii.

Był inny, przed którym kochanka uciekając snuła za sobą z jego serca, niby z kłębka, tęczową nić przedziwnej poezji, a on z tej przędzy układał wspaniałe obrazy, przez nikogo niezaćmione, przez wszystkich uwielbiane, a przez wdzięcznych jego rodaków ozdobione niewiedzącym wawrzynem.

Było jeszcze wielu, bardzo wielu innych, których tylko muza historii policzyć umie.

* * *

Wszyscy oni wśród hołdów, jakie im składano, wśród chwały, jaka ich otaczała, nie zapomnieli o cierpieniach serc swoich i skarżyli się bogu, który był ich ojcem. Wzruszony temi żałami Apollo, zjechawszy wieczorem z modrego nieba, na którym pozostały tylko gwiazdy, niby szczątki żaru odpadłe w przelocie z gorejącej głowni, i owinąwszy tarczę słońca oponą nocy, zwołał do pałacu ze złocistej zorzy duchy swych wsławionych geniuszem a zboliałych miłosną tęsknotą synów. Przebywały one w nowych żywych wcieleniach na ziemi, ale stawily się jako cienie z wieńcami na głowach.

— Witam was — rzekł — natchnione boskością dzieci moje. Wysłuchałem głosu ran waszych i postanowiłem je zamknąć.

Jedna ściana pałacu rozwarła się, a w oddali, na

tle ciemnego granatu nieba wyraźnie odcięta od niego swą jasnością, w szacie przejrzystego obłoku ukazała się Dafne. Piękna wszakże jej twarz zaczęła co chwila zmieniać swe rysy, tak, że nie tracąc uroku, przedstawiała coraz inną postać. To też zebrane duchy wydały okrzyk z rozmaitych imion, gdyż każdy zawołał ku niej imieniem tej, którą kochał.

— Rozdzieli się ona — przemówił Apollo — na tyle postaci, ile ich w waszych sercach przebywa, i każdy otrzyma swoją. Ale w pierw zedrzyjcie wawrzyny z głów waszych i odrzućcie je ze wzgardą.

Czekał — duchy milczały. Nareszcie jeden z nich, jak gdyby myśli wszystkich w niego się zlały, odrzekł:

— Nie kochamy tych, które nam laur odbierają, lecz tylko te, które go nam na czoła kładą.

Zasunęła się ściana pałacu, widzenie znikło, a duchy łańcuchem mar uwieńczonych wróciły na ziemię. Apollo patrzył za niemi dumnie uśmiechnięty.

Odtąd już nie rozczuła się, gdy widzi, jak jego synowie, ścigając Dafne, zdobywają wawrzyn.

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

VIII.

DWA WIDMA.

011

Wybiciem późnej godziny zegar przeciął naszą rozmowę, którą prowadziliśmy tak gorączkowo, że chwilami w wyobraźni mojej ucieleśniały ją przeróżne widziadła. Wyszedłem rozmarzony.

Noc była jasna, po niebie, jak po spokojnem morzu, pływały białe, pierzaste chmurki, niby ławice piany, niby stada ptaków, niby statki z rozwiniętymi żaglami, dążące w kierunku latarni księżycowej, która obracając swą świetlistą głowę, znaczyła im drogę i odwozła od zbłąkania. Mijałem ogród: lekkie podmuchy wiatru roznosiły orzeźwiający chłód kwiatom, które ugasiwszy pragnienie i obmywszy swe listki z dziennego kurzu w kropkach rosy, oddychały rozkosznymi woniami. Miasto już spało, a odległe turkoty rozlegały się między murami jak senne chrapanie. Choć ulice były puste, zdawało mi się, że mnie otacza rzesza duchów, upiorów smutnych i wesółych, które pozdrawiają się, czy też złorzeczają sobie niepochwytnymi dla echa szeptami. Zwolna wyobrażenia moja zaczęła na-

dawać tym postaciom powietrznym kształty cielesne, a gdy inne mignawszy pierzchały, dwie ujrzałem wyraźniej, idące przede mną. Jedna z nich w czarnej powłoczystej szacie, z pod której wymykały się stopy w sandały obute i ręce białe, sinemi, jak po ucisku klamer pręgami obwiedzione, szła spokojnie i niosła głowę dumnie. Na jej piękem, bladym obliczu nie barwił się nawet tak znikomy rumieniec, jak w blasku jutrzenki; natomiast oczy płonęły mocnym ogniem, a spieczone wargi drgały boleśnie. Włosy rozpuszczone w dużych zwojach, obiegłszy falisto twarz, spadały na ramiona i piersi, z których dobywały się częste westchnienia. Czasami ruchy jej niepewne i chwiejne zdradzały osłabienie, ale znowu opanowywała swą niemoc i rzucała spojrzenia pełne nieugiętej siły. Wtedy pod jej chmurnym czołem strzelały ze źrenic błyskawice wewnętrznej burzy, a z warg zlatywały gromy.

Obok niej sunęła się, kulejąc, druga niewiasta w szarych łachmanach, przez które dziurami przeglądało sinawe ciało. Rzadki, zrudziały włos splątany kosmykami wykradał się z brudnego, przekrzywionego na bok czepca i rozłaził się po twarzy nabrzmiałej, trądem gęsto obsianej, w której przygaste oczy świeciły krążkami próchna. Do oślinionych ust przywarł bezmyślny uśmiech, przybierający często znamię dzikości.

— Dobrego jutra. A skąd to, sestro? — zagadnęła pierwszą niewiastę ochryplym bezdźwięcznym głosem.

— Z cmentarza — odrzekła zapytana.

— Na mogiłach jagody nie rosną, warzyw ludzie nie sadzą, niema tam czego jeść...

— Całowałam groby męczenników życia, składałam na nich przysięgi i odbierałam przeznaczenia.

— Zostaw nieboszczyków w spokoju, niech jedzą ziemię, której mają poddostatkiem, a dbaj o żywych, którzy giną z głodu.

— Umarli nie ulatują w wieczność, jak stado bocianów, po których nawet szum skrzydeł milknie, lecz roztopiają się w powietrzu, którym żywi oddychają. Każdy człowiek pozostaje do zgonu dzieckiem na łonie przeszłości, ssącym mleko z jej piersi.

— Ja nie mam przeszłości. Mój ojciec nie wiedział, że mnie spłodził, matka urodziwszy, nie obejrzała i cisnęła do cudzej sieni, skąd mnie stróż wymiół do przytułku. Urosłszy, daremnie szukałam rodziców między parami w rowach i krzakach, tak jak niejedno z moich dzieci nie rozpoznaje we mnie matki. Ha, ha, ha — gramy w ślepą babkę. Dopóki mężczyźni nie nauczyli mnie prawdy, myślałam, że nas biednych Bóg z błota lepi i na ziemię spuszcza z gradem.

— Nieszczęśliwi...

— Jak kiedy... Za grosz teraz szczęścia nie sprzedają, bo zdrożało, ale za pięć dostać można. Aby tylko więc grosze były, to wesela nie zbraknie. Dziś się dzionek pochmurzył. Od rana w brzuchu tak mi głód zębami zgrzytał, że chciałam odrapać i zjeść grzyby,

które z wilgoci na ścianach izby wyrosły. Nawet pies ogryzionej kości nie zgubił, nikt na ulicy jabłka nie obrał i łupin nie rzucił, woda w rzece mułem nie zęstniała; więc poszłam pod szynk, usiadłam na progu i wciągałam wyziewy wódki, aż mnie sen zmorzył. Karczmarz nogą kopnął i przebudził, za co mu podziękowałam, bo byliby mnie sprzątnęli i do jamy wrzucili. A wolność to przysmak.

— I ty ją kochasz? Odgadłam to zaraz. Tak, wspinała orlica opuściła szczyty i sfrunęła na niziny, gdzie ściele sobie gniazdo. Tu jej pisklęta otuli mech mięki, osłonią powoje i trawy, wykarmią muszki, napoi zdroj czysty. Na wyżynach wiehry, które rozdzierają się tylko o niewzruszone skały, nie pozwolą żyć dumnym ptakom. Ludzie, wskakując jedni drugim na ramiona, wspinają się ku górze, niepomni, że bezlitosnym ciężarem rozgniatają podtrzymujących tę potworną drabinę. Ale spód jej wstrząsa się i wali ją — a ja i ty, należymy do spodu. Wołajmy tedy obie: kto w naturze rozkazał, ażeby człowiek miał prawo być niszczącą brodawką lub kleszczem wpitym w ciało innego człowieka, wdziawać cudze dobro jak kaftan ciepły, wzuwać jak obuwie, wysysać jak sok owocu? Kto ustanowił, ażeby serce uderzało według przepisanej rytmu a mózg obracał się za stałą igłą magnesową? Pytam o to od początku świata, bo tak długo żyję; tysiąc razy zabita, zmartwychwstaję, zdjeta z tortur

do zdrowia wracam, bo język mój jest mową nieśmiertelności.

— Wyznam ci, że niewiele z tej twojej mowy nieśmiertelności rozumiem. Ale domyślam się: nie chcesz, ażeby nas sadzano do kozy za to, że po nocy się włożymy. I to jest bardzo słuszne, bo komu to szkodzi, że sobie podpiję, pohulam, zaśpiewam i z wesela grzmotnę w łeb dobrego chłopca, który mi zaraz odda? Kiedy głód i chłód dokucają, koza nie straszna, a nawet przyjemna; w taką wszakże ciepłą noc, jak dzisiejsza, daleko wygodniej leż na murawie, i patrząc w niebo, lykac gwiazdy, niby cukierki. One nie nasycą — wiem, to też wprzód należy zjeść kawałek chleba, a jeśli niema swego, wyciągnąć z kieszeni cudzy, jak ja w tej chwili tobie.

— Weź, noszę go dla biednych...

— Pocziwa... Inni tak nie robią, choć wszystkiego pożreć nie mogą. Ale wynaleziono sposób wyrównywania nadmiarów. Śliczny sposób! Skoro noc utuli i uspi ziemię, my rozpoczynamy nowy podział dóbr świata: ten ich za dużo dźwiga — trzeba mu ulżyć; ten nasypał sobie z czubem — trzeba mu go zgarnąć; inny trapi się, gdzie przewyżkę schować — trzeba go od troski uwolnić. Nazajutrz wszyscy oni wstają zmartwieni, ale wkrótce pocieszają się, a wóz, na którym spoczywa ziemia, po równiejszem rozłożeniu na nim ciężarów, toczy się bezpiecznie i nie grozi wywróceniem. Złodziejów tylko brzydko nazwano: są oni do-

zorcami rzetelności miar i wag, służbą, przywracającą w nocy porządek domu, który państwo w dzień doprowadzili do bezładu. Czy nie prawda — siostrzo?

— Z ciebie odzywa się szydercza boleść, a nie trujące zepsucie. Najeżyłaś kolce i zwinęłaś się jak jeź, bo nauczyłaś bronić się od morderczej ręki. Ale w głębi czujesz serce, z którego sączą się łzy czyste. Cheesz powiedzieć, że ludzie nie powinni mieć paszcz olbrzymów przy ciałach karłów i więcej pochłaniać, niż strawić mogą; że ze stołów ucztowych zbytku więcej spada i marnieje okruszyn, niż potrzeba dla nakarmienia ubóstwa; że samolubstwu należy wyłamać kły, którymi rozszarpuje niemoc; że ziemia może wyżywić wszystkie dzieci, które rodzi, że...

— Nie, siostrzo kochana, przemawiasz do mnie ze zbyt wysokiej ambony i dlatego cię nie pojmuję. Ot, lepiej, zamiast tej gadaniny, od której mi już czezo, pójdźmy w groch. Patrzysz na mnie zdumiona? Ha, ha, ha! Kieszenie ludzkie są jak łan grochu: niektóre puste i robaczywe, inne pełne. Do tych biedak się zakrada i wyłuskuje z nich smaczne ziarna.

— Nie odstrasza mnie maską udanej potworności, bo pod nią dostrzegam uczciwy wzrok nędzy. A jeśli się myślę, odejść wstrętna wiedźmo zbrodni.

— Nie odtrącaj mnie, jam tak biedna, tak nieszczęśliwa, tak sponiewierana przez los, jak płat starej skóry, którą pies w zębach nosi, gryzie i pożreć nie chce.

— O, wy miłosierdzia godne sieroty, zrodzone, a nie znające rodziców, unarodowione, a opuszczone przez naród! Kiedyż was jedyna matka, ludzkość, przytuli do swego łona i otoczy troskliwą opieką.

— Co mówisz, dobrodziejko? Kto mnie sierotę przygarnie? I ja sobie nieraz myślę: gdyby poczciwi ludzie okryli mój nędzny grzbiet, dali strawę posilną i kąpiel ciepłą, możeby mi ręce zaświerzbiali do roboty, możebym miała odświętną minę. Ale gdy od człowieka wszyscy uciekają, nawet jego własne zęby i włosy, to się chce dogonić kogokolwiek, zedrzyć mu czuprynę i włożyć sobie na głowę. Niech tam! Skoro zacna pani nie wstydzi się iść ze mną, dziś będę porządną, jak figura kościelna. Tylko się naprzód wykąpię w wodotrysku, jeśli go spotkamy po drodze, bo w rzece biednym brudzić nie wolno wody, używanej do picia, a bezpłatnych łazienek niema. Kiedy zaś będę czystą jak zdrowe oko, czy weźmiesz mnie, siostrzo, do swego pałacu?

— Żadnego nie mam, mieszkam w skromnych domkach.

— Bywają wygodne. Ale dokąd teraz dążysz?

— Na obsługę nocną. Zanim słońce wejdzie i da hasło do dalszej walki, muszę ukrzepić siły bojowników, opatrzyć rany zwyciężonych, uznać poległych.

— Na pobojowiskach można znaleźć chleb porzucony, odzież zgubioną, klejnoty drogie, które trupom

są niepotrzebne, a żywym się przydadzą. Cudna wyprawa, śpieszmy. Oby nas tylko inni nie ubiegli.

— Bądź spokojna, niedola jest magnesem odpychającym. Przy jej drzwiach stoją na straży smutne duchy, które ludzi odstraszaają; jej piersi niemile rzeżą, kości wydają chrzęst szkieletowy, oddech zatrąwa uśmiechy, ów słodki i odurzający płyn w czarach biesiadników życia. Nieszczęśliwy jest chorym, zapowietrzonym, do którego jedynie litość się zbliża.

— Chociaż ogień dnia zgasł, piec ziemi, niebo, jeszcze grzeje, ale wkrótce ochłodnie. Trzeba skorzystać z ciepła i przespać się, bo ranek obleje zimnem i spędzi z legowiska. Powiedz mi zatem szczerze, siostrze, czy warto tę ciepłą część nocy przewrócić się?

— Odgrzeb z popiołów twej duszy iskrę miłości dla ludzi, wiary w dobro, nadziei w jego zwycięstwo, rozdmuchaj ją w płomień, który drogę rozświecać będzie i pójdź ze mną.

— Ale ostatecznie dokąd?

— Czy widzisz to okienko poddaszne, po którym ślizga się chwiejny i blady odbłysek lampy nocnej? Tam mąż chorej żony i ojciec drobnych dzieci rozmyśla, jak z niemi przeżyje jutro. Rozpacz, ptak drapieżny, stanął mu na głowie i mózg wydziobuje, smutki niby osy obsiadły jego serce i kłują je żądłami. Pyta on daremnie kamienne bożyszcze świata: co ma zrobić, ażeby nie podnieść przeciw sobie samobójczej ręki?

— Ty mu poradzisz?

— Poradzę, ażeby zjawił się na uczcie pijanych marnotrawców i pokazał im, jaki cień rzuca za sobą zbytek.

— Wypędzą go.

— Ale jego obrazu z duszy swej nie zetrą. Widzisz to drugie okno, za którym przy świetle kaganka dumna wynędniała młodzieniec? Podniósł twarz żółtą, niby stara karta, skargą boleści zapisana, w księdze losów ludzkich, zmęczony wzrok zawiesił w przestrzeni, pierś wyrzuca gorączkowe oddechy, pięść kurczowo się zaciska; on jutro rozwiedzie się z nauką, której wieczną miłość przysiągł, i zaślubi prostą dziewczkę rzemiosła, której nie kocha, ale będzie miał przy niej utrzymanie.

— Cóż mu pomożesz?

— Pobudzę go, ażeby o skały tego świata uderzył swą kłatwą, która rozprysnie się w tysiącnych echach i obudzi śpiące w mięko wysłanych norach zwierzo-ludy.

— Marna zabawka!

— Takie echa nie milkną nigdy. Patrz, tam dalej usiadła na balkonie i mierzy głębokość przestrzeni młoda kobieta, której uwodziciel wydarł podstępnie serce, a sąd ludzki przez tę ranę wtłacza jej na to miejsce hańbę. Walczy ona między przywiązaniem do nieprawego dziecka, które ją przed chwilą wypieściło pocałunkami, a odrazą do życia, które wypala jej na czole sromotne piętna.

— Niech podrzuci ludziom to, co jej odbierają.

— Milez! Niech je wychowa w poznaniu krzywdy, niech nauczy zemsty, która waży czyny na szalach sprawiedliwości, a karzący miecz powierza przebaczeniu.

— Ha, ha, ha! Wspaniałomyślny baran, który oszczędza owczarzowi trudu strzyżenia wełny i przeciska się przez koleczaste krzaki, ażeby ją z niego obdarły.

— Nie śmieję się, jak hyena. Oto przed nami stos złowrogi, na którym jutro spłonie mędrzec potępiony za prawdę, bo jej promieniami oślepił głupców. Stanę przy uwięzionym męczenniku, będę go zachęcała, ażeby się przed katami nie ukorzył i żalem nie plamił czystych kryształów wiedzy, które z głębin tajemnicy wykopał i które potomność ułoży dla niego w świetlany pomnik.

— To pociecha! Lepszy perz w łóżku, niż puch w trumnie.

— Nikt z nas nie jest odkrojonym od wszechducha w przyrodzie jego kawałkiem, lecz każdy, jako dziecko w łonie matki, żyje nim całym. Nie opóźniaj swych kroków, choć mnie czasem nie rozumiesz. Mamy przed sobą wielki krąg niedoli, który obejść trzeba. Widzisz tę gromadę namiotów, niby muszli wyrzuczonych na brzeg przez morze: śpią w nich znużeni tułaczki, których zły duch wypędził z siedzib za to, że ich nie mógł utłuc w wielkim mózdzierzu i z zagniecionej masy narodowej ulepić tworów według swej woli. Niosą z sobą tylko sakwy pielgrzymie, liry śpie-

wacze i księgi dziejów rodowych. Tylko matka-ziemia przygarnia ich do siebie. Gdyby nie ona, ciśnięci w przestrzeń, spadaliby wiecznie aż na dno nieskończoności. Pójdźmy do nich...

— Po co obmacywać ich puste torby? Przerwij, kochana siostrze, tę czezę, jak mój brzuch, gadaninę, i powiedz wyraźnie, czy dasz mi jeść.

— Co ty czujesz?

— Głód.

— Czego chcesz?

— Zaspokoić go. Lękam twoje słowa, jak bańki mydlane, ale to mnie nie syci, tylko mdli. Gdybyś miała tak zwinne palce, jak wargi, zarobiłybyśmy tej nocy dużo. Napróżno straciłyśmy czas. Otóż włóż moją rękę w swoją i podwójną pięścią uderzajmy w łby przechodniów, a z pewnością tyle z ich kieszeni przepyspie się w nasze, że słońce nas nie pozna. A jeśli nawet będzie potrzeba utracić szyjkę jakiejś butelki, która odkorkować się nie da...

Przed końcem tych słów czarne widmo zaczęło niknąć i z jękiem rozplynęło się w powietrzu. Stara niewiasta została sama i rzekła do siebie:

— Myślała, że ja z nią będę kraść w nocy rosę i gotować, zamiast kaszy, przy księżycu. Ha, ha, ha! I utonęła w mrokach.

Po chwili usłyszałem jakiś krzyk i wołania o pomoc, a potem śmiech starej wiedźmy.

* * *

Znowu było pusto. Zdawało mi się, że wyobraźnia moja jak gołąb przyleciała z oddali, zwinęła skrzydła i spoczęła zmęczona; zdawało mi się, że zbudzona myśl szepcze do niej:

— Do każdej młodej i bohaterskiej idei przyczepia się stara i wygłodniała niecnota jako jej siostra, która zamierza z nią świat okraść, kiedy tamta pragnie go zbawić.

IX.

DWAJ FILOZOFOWIE.

Izos nikogo nie kochał, prócz swego ucznia Dinamosa. Kiedy był młodszy, kobiety trącały swymi urokami o jego serce, które jak dzwon odbrzmiwało ku nim czystym tonem uczucia, ale milkło wkrótce; nie poślubił żadnej, ażeby — jak mówił — nie zniechęcić się do wszystkich. Według niego życie ludzkie podobne jest do skrzyni, napełnionej szczelnie różnokształtnymi kamieniami, które tłuką się o siebie i kruszą podczas jazdy nierówną drogą; leżąc zaś zdaleka lub przedzielone, nie uderzałyby się i nie niszczyły wzajemnie. Śród ciał martwych trudno znaleźć dwa, któreby przystawały do siebie ściśle, a ludzie sądzą, że śród daleko liczniejszego i daleko bardziej w swych jednostkach różnorodnego społeczeństwa mogą dobrać tyle istot współmiernych, ile im się podoba. Więc Izos nie zawiązywał stosunków bardzo blizkich, chociaż szczerze miłował cały ród człowieczy. Jednego tylko Dinamosa wyłączył i ukochał. Tłómaczył się przed nim z tej słabości:

— Nie uprzędziesz takiej nici, któraby była bezwzględnie równa i nie miała najmniejszego zgrubienia; nie wydobędziesz takiego dźwięku, któryby od początku do końca przebrzmiał z jednaką siłą; nie wytworzysz takiej harmonii, któraby się nie chwiała w żadnym punkcie. Ty jesteś kwiatem mojego uczucia, ale kąkołem mojej filozofii.

A tę filozofię wraz z uprawą krzewu winnego sześcił starannie w duszy Dinamosa. Wziął go do siebie małym sierotą, może skazanym na śmierć przedwczesną, przypuszczając, że znajdek nie wpije mu się jak kleszcz w serce i nie naruszy jego równowagi uczuciowej. Chłopiec jednak źle mu się odwdzieczył za opiekę, bo zbudził w nim głębokie, niemal ojcowskie przywiązanie. Był nietylko dobry, miły, ładny, ale nadto w duszy bogaty. Daremnie wszakże Izos, który do lat 20 nigdy się z nim nie rozstawał, przelewając swoje myśli do jego głowy, usiłował, żeby one w niej osiadły kryształami czystego, beznamiętnego rozumu: Dinamos roztopiał je w ogniu gorącego serca. Podczas gdy każde słowo starca było grudką lodu, każde słowo młodzieńca było węglem żaru. Pierwszy starał się wszystko zrozumieć i wytłómaczyć, drugi — kochał lub nienawidził.

Przy każdej sposobności, zarówno podczas pracy, jak długich przechadzek, Izos oziębiał i otrzeźwiał swego wychowanka, a chłopiec coraz bardziej się rozpałał i rozmarzał. Razu pewnego zbierali wspólnie

grona w winnicy i, jak zwykle, rozprawiali łagodnym sporem o wzajemnych różnicach pojmowania świata.

— Gdyby miłość — mówił stary — była wdzięcznością, a nienawiść zemstą, rozum by ich się nie wyparł. Ale jakże można okazywać wdzięczność albo zemstę temu, co istnieje bez zasługi lub winy? Że kobieta jest piękna lub brzydka, sędzia sprawiedliwy lub przekupny, przyjaciel wierny lub zdradziecki, to nie wynika ani z ich złego, ani dobrego postanowienia. Takimi ich stworzyła i być kazała natura. Dlaczegoż nikt nie kocha winnych jagód za to, że są słodkie i pożywne, a nie potępia wilczych za to, że są szkodliwe i trujące?

— Kocha i potępia — odrzekł Dinamos. — bo pierwsze hoduje i zbiera, a drugie niszczy i odrzuca. I ty ojeze to samo robisz, co wszyscy.

— Bo jeszcze jestem trochę głupi. Głowa moja podobna do nadtłuczonego garnka, w którym można coś ugotować, ale który ciecze. Zresztą wiesz co, mój chłopeze, przekonałem się, że samem dowodzeniem nie nauczę cię tego, czegobym nauczyć pragnął. Widocznie mam za mało rozumu, ażebym mógł nim obdzielić nas dwu, a ten krążek życia, w którym się obracamy, jest za ciasny, ażeby ci zdołał otworzyć szersze widoki. Więc idź w świat daleki, a gdy rozejrzysz się po nim uważnie, wróć do mnie. Może wtedy dusze nasze wzajemnie w sobie przeglądać się będą.

— Zaciążyłem ci już ojcie, chcesz mnie się pozbyć, powiedz otwarcie.

— Nie zaglądam ci za słowa, bo w nie szczerze całą myśl moją włożyłem. Oddawna już wyrzucam sobie, że cię trzymam i dmucham jak we flet dla wydobycia melodyi, której zagrać nie umiem. Zobaczą, jak cię świat nastroi. Przygotowałem ci dosyć pieniędzy na rok cały.

Dinamos wyjechał. Zwiedził Grecyę i jej kolonie azyatyckie, przypatrywał się ludziom, obcował z filozofami, wreszcie z obfitym plonem doświadczenia i wiedzy, ciągniony coraz silniej tą nicią, która jego serce z sercem Izosa związała—wrócił.

Stary powitał go radością i rozrzewnieniem. Przez kilka miesięcy Dinamos opowiadał mu szczegółowo swoją podróż. Gdy już przesnuł cały jej wątek, Izos zapytał go:

— Czy ciągle kochasz i nienawidzisz ludzi?

— O, tak — rzekł młodzieniec— a nawet teraz jeszcze bardziej, niż przedtem. Poznałem najrozmaitszych, miłości lub potępienia godnych. Za jednych oddałbym życie, dla drugich żałowałbym sznurka na strzyzek.

Izos smutnie spuścił głowę, przygnębiony nie tylko zawodem nadziei zmian w naturze wychowanka, lecz także wątpliwością co do własnej filozofii, do której pragnął go nawrócić. Czyżby ona była istotnie mylna? Czyżby w umysł tego chłopca lepsza mądrość odbla-

ski swego światła rzucala? Nie. Skrzeple i stężale przekonania starca nie tak łatwo dały się skruszyć młodej sile. Po chwili milczenia zapytał:

— Któryż z filozofów wydał ci się bogom najbliższy?

— Plato — odrzekł z zapalem Dinamos.— On nie domyśla się prawd, ale je objawia. Każde jego słowo jest gwiazdą w ciemność spadającą.

— Prości jednak wieśniacy lekceważą go, bo nie umie sprowadzać deszczu. Jak sądzisz, czy posąg Ateny byłby odpowiedni na kowadło?

— Cóż znowu! Pękłby pod pierwszym uderzeniem młota.

— I ja tak mniemam. Czy wielu po drodze znalazł przyjaciół?

— Kilku mogę śmiało nazwać tem mianem. Zwłaszcza Nikon z Efezu tak mnie rozczulił swoją szlachetną dobrocią, że nikomu z serca mojego nie ustąpi.

— Cóż ci takiego zrobił?

— Długo musiałbym mówić o jego zacnych usługach. Wspomnę tylko jedną. Kiedy zachorowałem, przerwał swoją praktykę i nie wyszedł z mojego mieszkania, dopóki mnie nie wyleczył.

— Więc innych chorych opuścił?

— Wszystkich.

— Nie dowiadywałeś się, co o nim powiedzieli?

— Może go nazwali nieponiem, ale co mnie to obchodzi! Dla mnie był dobroczyńcą.

— Zapewne. Czy żadna kobieta cię nie odurzyła?

— Fajszywy wstydy — rzekł zarumieniony Dinamos — kazał mi zataić przed tobą to wyznanie. Tak, pokochałem śliczną dziewicę z Miletu. Jest tak piękna, że gdy stanie nad morzem, jego zwierzchnie fale ciągle przybiegają do brzegu, ażeby odbić w sobie jej obraz i odnieść go głębszym. Jest tak dobra...

— Nie wątpię o tem — przerwał Izos — ale czy zbadałeś, że niema ani jednego człowieka, któryby o niej mówił przeciwnie?

— Ja ją widzę taką...

— A czy nie zastanowiłeś się nad tem, że może ty sam tylko taką ją widzisz, że innym przedstawia się ona gorzej, nawet bardzo źle...

— Nie przypuszczam, a zresztą moje uczucie mi wystarcza i nie potrzebuję go potwierdzać cudzemi.

— Słusznie. Gdyby wszakże ktoś uznał ją za brzydką i złą, czy nazwałbyś go niesprawiedliwym?

— Naturalnie.

— Więc kto nie ma twoich oczu, uszu, nerwów, wymagań, gustu... jest człowiekiem złym?

— Ach, ojczy, stawiasz mi sofistyczne potrzaski.

— Nie, mój drogi, ja cię nie chcę mamić, tylko szukam drogi, którą moglibyśmy iść razem.

— Przyznasz, ojczy, że są kobiety, powszechnie uważane za piękne i dobre, lub brzydkie i złe. Do pierwszych należy Lota...

— Wierzę, gdybyś jednak tę Lotę dał niemowlęciu,

pozbawionemu piersi matczynej, czy byłoby nią zachwycone?

— Ależ ona jest dziewicą.

— Zatem dziecko ssące przeniosłoby nad nią najszpetniejszą mamkę?

— Któż temu przeczy?

— Ja — nie. Pisałeś mi z drogi, że cię niezmiernie oburzył wódz spartański, który knuł z Persami zdradę przeciw ojczyźnie.

— Nikczemnik! Kruki zdychać będą, jedząc go po śmierci.

— A czy jesteś pewny, że on nie byłby sumiennym i troskliwym pasterzem kóz?

— Łotr pozostanie zawsze łotrem.

— W takim razie, nie naczepawszy sitem wody, która przez nie przeleci, połamiesz je jako bezużyteczne nawet do przesiania mąki?

— To co innego. Są ludzie w każdej czynności podli.

— I ja widzę różnicę. Narzędzia stwarza człowiek i wyraźnie wskazuje ich użyteczność, więc wszystkie są przydatne; ludzi zaś stwarza natura i nie objaśnia, do czego są zdolni, więc niektórzy tylko, odgadnięci w swej użyteczności i niezblądani w swem przeznaczeniu, wydają nam się rozumni i uczciwi. Gdybyśmy wszyscy zdołali poznać swoje przyrodzone cele...

— Tobyśmy zbrodniarzy dusili w kolebkach.

— Ludzkość była ostrożniejsza od ciebie, bo nie

wyniszczyła krzewów, których owoce wielu otruły i dociekla potem, że one także bywają lekiem.

Dinamos rozdrażniony i gniewny umilkł. Opanowawszy się, rzekł:

— Kochany ojcze, do jakiej prawdy wiedziesz mnie po tych manowcach?

— Ani sam, ani ze mną nie dojdiesz do żadnej, dopóki będziesz miał myśl gniewem spletaną. Namiętność grzeje, ale nie świeci. Czy Plato ci o tem nie wspomniał?

— Owszem, ale on...

— On jest większy od nas wszystkich, wiem o tem; szewc jednak uszyje sandały zarówno przy kaganku, jak przy słońcu, a kropla rosy jest tak samo wodą, jak rzeka. Są więc prawdy, które ja, prosty ogrodnik, dostrzedz mogę, nie mając orlego wzroku Platona. Bądź jeszcze chwilę cierpliwy, niedługo już drażnić cię przestanę. Odpowiedz mi tedy: gdybyś barbarzyńcom, nieznającym naszych narzędzi, zawiózł je i nie nauczył ich używać żadnego statku, czy domyśliliby się odrazu, do czego służy zgrzebło lub dłuto snycerskie?

— Nie.

— Czy mogłoby się zdarzyć, że dłuto oprawiliby w długi kij dla przebijania wrogów na wojnie?

— Tak.

— A zatem to narzędzie, którem my stwarzamy

posagi, w rękach barbarzyńców służyłoby do mordowania ludzi?

— Zapewne.

— Otóż mnie się zdaje, że podobnie zachowują się ludzie względem siebie: kochają tych, których wartość dla siebie odgadli, a nienawidzą tych, których użyteczności nie znają, w obu zaś wypadkach, a co najmniej w drugim, postępują niesprawiedliwie.

Dinamos zamyślił się nad tą uwagą. Izos, wpa-trzywszy się w niego czule, mówił dalej:

— Czy nie zgodziłbyś się na to, że każdy bez wyjątku człowiek jest skarbczykiem, w którym spoczywa zamknięte większe lub mniejsze dobro, i że on potrzebuje znaleźć kogoś, kto go potrafi otworzyć i ten klejnot z niego wyjąć? Ludźmi wartościowymi przeto byłiby ci, do których wielu klucz posiada, a niegodziwcami tacy, do których go nikt nie znalazł.

— Dobrze, mój ojcze—zawołał Dinamos, obejmując Izosa— więc nie będę nikogo nienawidził, ale nie żądam, żebym nie kochał.

— Tego nie wymagam— rzekł wzruszony starzec—bo i ja muszę kochać ciebie.

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

WYDZIAŁ HISTORII

X.

NAD GROBEM.

—

Przeszedł długą drogę życia od kolebki do grobu, a powszechnie mniemano, że mu na niej pod stopami gęsto wyrastały barwne i wonne kwiaty, które czasem miawały kolce, ale nie raniły go nimi boleśnie. On też nie skarżył się przyjaciółom i nie złorzeczył wrogom; śmiał się dość często, nie płakał nigdy. A chociaż przebywając ostatnią stację kolei życia, wyglądał smutnie, tłumaczono to sobie naturalnym żalem za młodością, którą bezpowrotnie minął i niechęcią do zgonu, do którego szybko się zbliżał. Los—mówiono—nie obarczył go żadnym ciężarem, tylko czas włożył mu na barki brzemie osmdziesięciu lat wieku, pod którym starzec się ugiął. Szczęście przez cały ten czas prowadziło go stale za rękę i opuściło dopiero wtedy, kiedy go musiało oddać jednemu a nieuniknionemu nieszczęściu—śmierci.

Staął nad otwartym grobem spokojny i pogodzony z tą koniecznością. Wokoło niego zgromadzili się wszyscy, z którymi łączyły go jakiegokolwiek węzły:

żona, dzieci, przyjaciele, a po za nimi liczna gromada ludzi, którzy prawdopodobnie coś mu zawdzięczali. Żegnał się kolejno z każdym:

— Uciekałaś od śmierci z trwogą— rzekł do żony— a ścigałaś życie z rozkoszą, niechże ci ono da największą miarę istnienia, jaką tylko ludziom wydziela. W maleńkim sercu twojem nie pozostanie po mnie żadna pustka, bo ja w niem nie mieściłem się i nigdy nie przebywałem. Zaglądałem tylko weń czasem przez szczeliny i widziałem ruchliwy rój drobnych pragnień i uciech. Niech one ci się mnożą do ostatniego twego oddechu. Wprawdzie byłaś jemiolą na konarze mojego życia, które obecnie usycha i pada, ale tych soków, jakie ze mnie wysałaś, wystarczy ci dostatnio na koniec starości. Gdy spocznię w ziemi, nie mają sobie pogody życia wspomnieniami i obowiązkiem odwiedzania mojej mogiły, nie marnuj łez i westchnień, gdyż rosnąca na niej trawa zadowoli się rosą i wiatrem. Nie trudź się również modłami za duszę moją, bo jeżeli ja ją mam a Bóg jest, to wie, żeś ty jej nie znała i nie kochała, więc twoich próśb nie wysłucha. Przebac mi, że nie mogłem połamać moich myśli, uczuć, marzeń, ideałów i wrzucić ich w ognisko, przy którym gotowałaś dla nas jadło, że nie mogłem włożyć ich między ostrza tych nożyc, któremi krajałaś naszą odzież, że nie mogłem ani oprawić się cały w ramy twoich upodobań, ani być w klatce małżeńskiejszy ptaikiem, wygwizdującym ci ulubione melodye, że po za

spokojeniu twoich potrzeb pozostawała we mnie duża reszta, którą ocalić i spożytkować pragnąłem dla siebie i świata. Dziękuję ci za trudy dozoru mojego domu, za podawanie mi jedzenia w zdrowiu i lekarstw w chorobie, za wszystko wreszcie, o czem nie pamiętam.

— I wy, moje dzieci, nie próbujecie mnie żałować: najmniejsza łza was będzie kosztowała wiele wysiłku, a mnie już nie przyniesie ulgi. Gdybym nawet mógł i chciał przedłużyć moje życie, nie miałyby ono dla was żadnej wartości. Bo co tylko dało się z niego wydobyć, to wzięłyście. Przebaccie mi, że nie miałem lub nie dałem wam więcej. Widziałyście nieraz, jak wyczerpany z sił upadałem w nieustającej pracy dla waszej wygody, podczas gdy nikt z was nie otarł mi potu z czoła, nikt mozołu pomocą nie zmniejszył, nikt go wdzięcznością nie wynagrodził. Przebaccie mi, że chciałem żyć nieco dla siebie, był to bowiem niezbędny warunek, ażebym żył dla was. Wszakże i jabłoń, która oddaje wam swoje owoce, i róża, która oddaje wam swoje kwiaty, i zboża, które oddają wam swoje ziarna, dopóki istnieją, nie oddadzą wam wszystkich swoich tkanek i soków. Widziałem często, że gdy nie zdołałyście rozebrać mnie na swą korzyść do ostatniego szczętu, byłyście smutne, ale ja musiałem oszczędzać siebie, chociażby dlatego, ażebyście strwoniwszy mnie odrazu, nie uczuły potem braku. Więc mi darujcie to skąpstwo. A nadto przyjmijcie od umierają-

cego ojca podziękowanie za to, żeście na pociechę jego urodziły się i nie wyrzekły się tytułu jego dzieci.

— Bądźcie zdrowi, dobrzy przyjaciele. Umiećcie waszą bezinteresowność w tej chwili: zadaliście sobie trud odprowadzenia mnie do grobu, chociaż za to już wam się nie wywdzięczę. Pragnąłem za każdą waszą usługę wywzajemnić się, jeśli wszakże jakaś, oprócz tej, pozostała niewynagrodzona, darujcie mi ten dług, bo już nie mam czasu go spłacić. Przed przyjściem tu obliczyłem moje życie ściśle i rzetelnie, obrachowałem, co ja jestem wam winien, a co wy mnie. Zdawało mi się, że dowody przyjaźni z obu stron są zrównoważone, ale ten rachunek robiłem pamięcią starą i słabą, być więc może, iż w nim coś opuściłem na waszą niekorzyść. Przebaczenie mi tę bezwiedną i mimowolną omyłkę. Wiem o tem, że darowizn i poświęceń niema, są tylko wymiany usług. Staralem się zawsze to przykazanie trzymać przed moją myślą, ale czy czasem w jakimś rojeniu, nie zapomniałem o niem, nie jestem pewien. Gdyby tak było, rozgrzeszcie mnie, i nie rzućcie wraz z ziemią na mnie krzywdzącego wyrzutu. Dziękuję wam serdecznie za dobrą dla mnie wolę, za to, że nie życzyliście mi ani choroby, ani nędzy, ani hańby, że mogąc mnie zabić, oszukać, znieślawić, pozostawiliście mnie przy życiu, dostatkowi i uczciwości.

— Wy zaś wszyscy—dodał, zwracając się ku stojącym dalej—których ledwie znam z nazwiska, prze-

baczenie mi również każdy czyn, który nie był dobrem waszem i przyjmijcie podziękowanie za każdy, który uważaliście za dobro moje.

Błady, ale spokojny, bez wzruszenia, z oczyma suchymi, pożegnał po raz ostatni zgromadzonych schyleniem głowy, odwrócił się od nich i już miał zstąpić do grobu, gdy nagle zatrzymał się i utkwiał zdumiony wzrok w przestrzeni. Na jej jasnym tle, w oddali, ujrzał taki sam orszak uniesiony nad ziemią, składający się z istot podobnych, ale duchów przejrzystych, pięknych i anielsko uśmiechniętych. „Co to jest? — pomyślał. — Czy towarzysze mojego pogrzebu odbili się w powietrzu tak cudownym złudzeniem?“ Wpatrzywszy się uważniej w twarze lotnych postaci, rozpoznał je. Tak, to były ideały ludzi rzeczywistych, z którymi powiązał się stosunkami życia i którzy teraz stali przy nim nad grobem, to były owe uroczyska mary, o których śnił w młodości i które kolejno zniknęły z jego wyobraźni, a dziś zgromadziły się wszystkie, ażeby go przed śmiercią pożegnać. Tak, to były one, nie brakło ani jednej. Przypominał je sobie kolejno, przypominał sobie każdy ich rys, każdą chwilę ich narodzin i śmierci. Przed ożywioną jego pamięcią błysnął i roztoczył się cały promienny szlak snów młodości, jej barwy i światła, jej zachwyty i marzenia, jej przepiękne widma, które spodziewał się znaleźć w życiu i których nigdy w niem nie spotkał. Jakże bolesnym było dziś dla niego to przypomnienie i jak okropnym roz-

stanie! Po co te mąry objawiły mu się nad grobem? Czy po to, ażeby ostatniem drgnieniem jego serca był nieutulony żal za światem, z którego odchodzi? Z twarzą kurczami rozpaczy wykrzywioną, oczami nabrzmiałemi od palących łez, spoglądał na zawieszony w przestrzeni orszak ulud, wreszcie pasując się z cierpieniem, w którym mu serce pękło, krzyknął i upadł.

Wzruszona jego boleścią ziemia, zamknęła grób natychmiast, zanim grabarze zdążyli go zasypać.

Powracający z pogrzebu chwalili piaszczysty grunt cmentarza, w którym ściany dołu same się osuwają.

XI.

A S B E.

Lotny płyn nocy, napełniający przestrzeń, powoli ustawał się, a ciemne jego męty opadały na dno ziemi. Pokrywa nieba wklęsa głębiej, wchłonęła drobne gwiazdy i tylko na wschodnim brzegu obwiodła się szerokim łukiem światła. Mroki rzedniały z każdą chwilą, widnokrąg pokrywał się coraz jaśniejszymi płatami, ze ścian i dachów tebańskich noc ściągnęła swój całun. Nil chwycił pierwsze blaski dnia i roziskrzył je w swych drobnych falach, piramidy zrzucały ciemne i przywdziały szare opony, a pustynia, jak obrzymia łysina globu, ukazała zdala swą żółtość. Po wilgotnem powietrzu rozplywały się ryki bydła, wypuszczonego na pastwisko, przeciągłe wołania ludzkie i drobne świergoty ptaków. Liście drżały, uczuwszy powiewy cieplejsze, kwiaty, skąpiane w rosie, gotowały się do powitania słońca wonnemi kadzidłami swych barwnych kielichów.

Asbe wstała wcześniej niż zwykle, wcześniej niż przepiórka. Jeszcze gwiazdy nie potonęły w morzu

niebieskiem, a księżyc nie zgasił swej nocnej latarni, jeszcze ani jeden promień nie ogłosił narodzin dnia, kiedy ona już opuściła łoże bezsenności i wybiegła przed dom oblać się chłodem poranku. Bezpieczną była jej nagość w osłonie gęstych cieniów. Choć wielkie gwiazdy rozszerzyły swe źrenice, nie dojrzały ani śnieżnych półkul jej piersi, ani kształtnie wykrojonej kibici, ani wdzięcznie zagiętych bioder, ani nóg opartych na stopkach zgrabnych. Tylko leciuchny wietrzyk czasem w przelocie popieścił jej liliowe ciało i uciekł upojony rozkoszą tych pocałunków.

Asbe posłała niespokojny wzrok ku wschodowi. Od stropu nieba oderwał się meteor i przeleciał ognistą smugą; ona drgnęła, obrzuciła piersi zwojami długich, czarnych włosów, wbiegła do sypialni, usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach. Przez szpary różowych jej palców wkrótce pociekły lzy rzęsiste. Bo jeśli i ten ratunek ją zawiedzie?

Gdy czcigodny wół, zanim go jako bóstwo wprowadzono do świątyni, pasł się swobodnie przez dni czterdzieści i wtedy wolno było kobietom obnażonym zanosić do niego prośby, Asbe przezwyciężyła wstyd niewieści, uległa rodzicom, poszła na łąkę, opuściła szaty i ukazała swe piękne ciało Apisowi. Wół spojrział na nią, dotknął językiem jej piersi i odszedł, a chociaż już od miesiąca jest bogiem, nie dopomógł nieszczęśliwej.

Radziła się czarodzieja, który kazał jej zjeść su-

szone ucho nietoperza, wypić w piolunowym soku rozpuszczony proszek zęba krokodylowego—co spełniła, wreszcie służyć mu uległa przez całą młodość—czego spełnić nie chciała.

Teraz z sercem rozpiętym na smutku i obawie po raz trzeci wyczekiwała cudu, który miał ją uzdrowić. Asbe bowiem była—niemą.

* * *

U północnej krawędzi Teb, przodem ku pustyni zwrócony, siedział na kamiennym tronie kamienny Memnon, syn Jutrzenki, zabity w wojnie trojańskiej. Trzęsienie ziemi zgruchotało jego posąg, ale nadało mu życie. Codziennie bowiem, uderzony promieniami wschodzącego słońca, wydaje dźwięczne tony, zlewające się w pieśń rzewną i uroczystą.

Stara wróżka, która przypadkiem podsłuchiwała raz tę melodyę i odczuła jej siłę szczególną, odgadła, że gdyby niemi przyłożyli usta do statuy w chwili jej brzmienia, odzyskaliby mowę.

Asbe całą duszę napelniła tą wiarą. Ledwie zapłakanymi oczami spostrzegła pierwsze smugi brzasku, wrzuciła na siebie białą tunikę, przepasała się jedwabnym sznurem i wyszła spiesźnie. Odblaski księżycowe nie lżej od jej stóp przesuwały się po płytach chodników. Między płowymi murami przebiegła całe miasto. Gdy odbite od nich światła padły na jej twarz

wszystkimi urokami piękna, ukazały gorączkowe migotanie oczu, pod którymi rumieniec mieszał się szybko z białością, jak płomień z białym dymem. Stała — a niemając słuchu, wyteżyła czujny wzrok. Około posągu Memnona jakaś ciężka postać krążyła wolnym krokiem: to jeden z kapłanów odbywał straż poranną dla religijnego uczczenia tajemniczych drzeń statuy.

Asbe wiedziała, że jego obecność zabrania tu kobietom jawić się, ale nieustraszona i zwinna jak lwica podeszła niepostrzeżenie do podstawy olbrzyma tajemniczego, na którego czarnem tle jej biała szata odkreśliła się jak szmat blasku.

Kapłan modlił się szeptem:

— Fra, ojcze i królu bogów, władco obu światów, który tronujesz w tarczy słonecznej, a niebem i ziemią rządysz, przez szybko-skrzydłego krogulca i ogni-stego byka, przez wszystko, co umiłowałeś i łaską swą darzysz, błagam cię, pobłogosław dzień rodzący się, otwórz dla niego swą pełną dobrodziejstw rękę. Niech cię sławi czas nieskończony, niech cię sławi przestrzeń niezmierną, niech oniemieją wargi, które chwały twojej nie powtórzą.

— Ozyrysie, synu wieczności, rozpostartej od początku do końca świata, pomnóż ziarna plonów, zasil suche piaski wodą, a wodzie daj żywność; spraw, ażeby różga kłesk zakwitła w twej dłoni gałązką pomyślności. Zapomnij ludziom zbrodnie i bluźnierstwa a pamiętaj tylko cnoty i modły.

— Izydo, matko nieba, wstaw się za nami do bogów.

— Knepie, patronie miłosierny, nie dopuść, ażeby sługa twój żył w niedostatku. Już drugi osioł w tym roku mi zdycha. Ach!

Spojrzał w górę, ziewnął i ciszej szeptać zaczął do siebie:

— Że bogowie są, głupiec tylko nie wierzy. Ale czy tyłu ich jest i jak się dzielą panowaniem, skąd marny rozum ludzki wybadać może? Musi ich być znacznie mniej, niż twierdzą księgi święte, ale jeszcze za mało dla rządzenia ciemnym motłochem.

Umilkł i znowu mówił:

— Słońce zaspalo, a ten czarny bałwan już chciałby zaśpiewać. Ha, ha, ha, zaśpiewać! Popękał, więc powietrze ocieplone, przepływając żywszym pędem przez jego szpary i szczeliny, wydobywa dźwięki, a tłum mniema, że Memnon odpowiada na pozdrowienie swej matki Jutrzenki. Owszem, niech tak mniema!

Na skłonie wschodnim nieba zmroczona jasność rozwidniła się mocniej i rozpostarła po sklepieniu niebios bladą lunę. Cała natura odetchnęła przebudzona w uśmiechu po snach przyjemnych, a wkrótce wysuwały się powoli promienie korony i czoło słońca.

Asbe, z oczami utkwionymi w tę stronę, przycisnęła mocno usta do posągu. Zdawało jej się, że drgnął kilkakrotnie. Z początku nie słyszała nic, nareszcie w uszach jej zaczęły brzmieć coraz wyrazistsze a cza-

rowne tony, które wrzącymi strumieniami rozlewały się po jej ciele. Ucichły, ale ona słyszała, słyszała!

Olśniona szczęściem, niepewna cudu, przerażona zwątpieniem, zerwała się z ziemi i krzyknęła:

— Memnonie!

Istotnie przemówiła.

Kapłan osłupiał: spojrzął na nią zdumiony, spuścił kaptur na głowę i odszedł przyspieszonym krokiem.

Asbe szalona zachwytem biegła do domu, a oczy jej, łzami okropłone, skrzyły się jak dyamenty w oprawie pereł.

* * *

Pierwszy raz dnia tego pozdrowiła matkę słowami. Wkrótce cała rodzina uwiadomiona o cudzie, zgromadziła się w zdziwieniu i weselu. Pomału wszakże, gdy wypita wspólnie pełen kielich radości, uczuła gorzkawy jej posmak: Asbe złamała przepisy religijne, ukazując się wobec kapłana, popełniła grzech niesławy kobiecej, idąc do statuy w porze nocnej.

— Tego ci obrażony Bóg nie przebaczy, gdyby nawet kapłan odpuścił — rzekła matka, a z nią powtórzyli krewni.

Strapiona Asbe odeszła do swej komnatki, gdzie po krótkim rozmyślaniu oddała się wzruszeniu swego szczęścia. Co chwila, jak rosa na igielkach modrzewiowych, zwieszały się na jej rzęsach łzy uśmiechnięte.

— Jeśli bogowie uzdrowili mnie, za cóż karać mają?

I znowu badała się, czy jej nie ludzi rojenie zwojne, czy ona rzeczywiście słyszy i mówi, a tak naprzemiany omdlewając w rozpacz i wybuchając uniesieniem, stanęła wreszcie przed zwierciadłem, jak gdyby na swych ustach zobaczyć chciała widomy znak cudu. Istotnie przekształciły się: zamiast dwu prążków koralowych, ujrzała odęte i spieczone wargi, okryte korą błonki spękanej. Czyżby posąg oparzył ją przy pocałunku?

Przez cały dzień daremnie szukali jej znajomi i ciekawki: schroniwszy się w ustronie gaju, rozmawiała z sobą. Dopiero przed wieczorem wróciła do domu, ale tak mileżąca i wszelkim pytaniom oporna, że lekano się, czy jej powtórnie na język nie padła niemota. Była to obawa płonna. Asbe tylko zamknęła się w sobie i zawarła wszystkie myśli swoje w mocnem postanowieniu, które twarz jej powlekło pozornym spokojem, ale w oczach odbijało pożar serca. Była ona w tych ogniach tak piękną, jak mara szczęścia niedoścignionego.

Gdy noc naciągnęła na niebo swe opony i jeszcze nie zdążyła zapalić gwiazd wszystkich, Asbe wymknęła się z domu i znikła. Ale księżyc dostrzegł ją u podnóża posągu Memnona. Jak podmuch wieczorny, bez szelestu, ledwie potrąciwszy główki ziela, podeszła do statuy i objąwszy ją zachwytnym wejrzeniem, przemówiła:

— Memnonie, dziękuję ci duszą rozrzuwnioną, dziękuję życiem nowem, dziękuję wszystkimi uczuciami, jakie we mnie się rodzą. Natchnij wdzięczność moją wskazaniem ofiary, któraby ci miłą była.

I pocałowała czarny kamień.

Posąg poruszył się i jakgdyby głęboko westchnął. Asbe, nie odejmując ust, poczuła, że on się rozgrzewa. Nareszcie usłyszała z góry wołanie:

— Asbe!

Odchyliła się trwożliwie. Głos umilkł, nawet cisza przestała powtarzać jego echo. Kobieta znów dotknęła posąg ustami; drgnął silnie i zabrział:

— Najmilsza mi ofiara z twoich pocałunków czystych.

Nagłym rzutem wskoczyła Asbe na podstawę posągu, oplotła go ramionami, przytuliła się do niego twarzą i spytała:

— Ty żyjesz, Memnonie?

— Żyję — odrzekł, opasawszy ją kamiennymi rękami — żyję, gdy padają na mnie promienie wschodzącego słońca i gdy mnie całują twoje usta.

Podniósł ją, przycisnął do szerokiej piersi i mówił dalej:

— Cud z cudu się pocałował. Ja zdjąłem niemotę z twojego języka, ty z mojego serca. Życie krótkie roztrwo- niłem na walki, na starcia z wrogami; umarłem w niewiści, nie w kochaniu. Od czasu jak tu skamienia-

łem, doznaję tylko każdego poranku wzruszeń, gdy wielka pochodnia natury zapala światło nad ziemią, wtedy myśl moja pozdrawia ją. Dopiero usta twoje tętnęły we mnie miłość. W jej żarze topi się głaz mojego ciała. Tyś mi drugim słońcem... Tamto mnie oświeca, ty ogrzewasz. Ze wszystkich hołdów, jakie tu odbieram, ze wszystkich uniesień, jakie wywołuję, z całej czci i uwielbień najdroższym mi będzie czar ust twoich. Nie wierz obłudnym kapłanom, którzy wyrabiają bogów dla sprzedawania ich tłumowi i którzy moje tony tłómaczą baśnią; nie wierz bluźniercom, którzy tę pieśń poranną objaśniają szydlerczo przeciągiem przez szczeliny kamienia prądów ciepłych, bo ja odbrzmiewam tylko, gdy czoła mojego dotkną promienie światła lub miłości.

Asbe podniosła oczy i ujrzała się w objęciach żywego mężczyzny, który pieścił ją namiętnie.

Pieszczoty te przetrwały aż do pierwszych dnia brzasków.

— Odejdź już, krynico rozkoszy najczystszej — rzekł Memnon, rozwierając swe objęcia i powoli zastygając w głazie — bo na wschodzie zorza jaśnieje. Ja tego miejsca opuścić nie mogę, ale ty przybywaj do mnie, dopóki cię inna miłość nie wstrzyma.

Asbe osunęła się na ziemię i poszła omdlona w słodkim rozmarzeniu. Obejrzała się: na kamiennym tronie siedział kamienny syn Jutrzenki.



Odtąd co wieczór wykradała się z domu, napró-
żno przez rodzinę pytana i śledzona. Wreszcie nie
badano jej i osądzono, że ją bogowie pokarali, bo
z ich obrazą odzyskałszy mowę, z ich gniewnej woli
straciła rozum.

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Krajobrazy	1
II. Dwugłos miłości	27
III. Lew kamienny	47
IV. Wesele satyra	55
V. Hymn niemych	73
VI. Strachy Pentelikonu	87
VII. Dafne	103
VIII. Dwa widma	113
IX. Dwaj filozofowie	127
X. Nad grobem	139
XI. Asbe	147



9989